WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. | Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon Nr. 309. | Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI.

„Głos literacki i społeczny" dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu".

Nr. 14. Kraków, dnia 14. października. 1900.

Próba klisz z kalendarza »Głosu Narodu«.



Kazimierz, Tetmajer.



Marya Konopnicka.



Lucyan Rydel.

Z roku Mickiewiczowskiego.

Rok jubileuszowy wielkiego poety przyniósł nam sporą ilość prac o nim — dobrych i ciekawych. Do najciekawszych zaliczyłbym książęczkę Maryi Konopnickiej, noszącą skromny tytuł „Z roku Mickiewiczowskiego", a która w tych dniach dopiero ukazała się na widok publiczny. Mieści ona w sobie dwa studya tylko, ale oba posiadają niezwykłą wartość i blask niepospolity. Zacznijmy omówienie ich treści od — pierwszego.

Zwykle wyobrażamy sobie umysły twórcze, jako niezdolne do krytyki. Przeważnie bywa tak w istocie. Jakkolwiek w mojem przekoniu twórca łatwiej od badaczy naukowych zgłębić i zrozumieć może genezę kreacyjną utworu innego autora, przyznaję jednak, że przeciętnie nie jest w mocy sądu swego i oceny sformułować i wyrazić tak, by służyły masom za jasny i wyczerpujący komentarz. Za wiele wkłada w krytykę siebie samego, zatem sobą bezwiednie i mimowoli zasłania badanego przez się pisarza. Tak dzieje się, jak to już powiedziałem, najczęściej. Zdarzają się jednak wyjątki, nieraz świetne. Do nich należy niezawodnie wymieniona wyżej poetka i jej śliczny szkic o „Dziadach". Ostrze jego zwróciła przedewszystkiem ku nader pochlebnie i życzliwie w prasie naszej przyjętemu dziełu o Mickiewiczu Dra Józefa Kallenbacha, profesora uniwersytetu fryburskiego, a nadto (chociaż tylko mimochodem) polemizuje także zwycięsko z wywodami innych, najwybitniejszych naszych essayistów i historyków literatury, jak Dr Piotr Chmielowski, Dr Józef Tretiak i Stanisław Tarnowski. Niekontestując wcale ich zasług, ani zaszczytnych tryumfów, jakie nieraz odnieśli na krytycznej niwie, mniemam przecież, że tym razem zostali pobici. Poetka, własną duszą komentująca dzieło znakomitego poety, znająca z własnego doświadczenia drogi i ścieżki, któremi twórczość chodzić zwykła, znalazła prawdziwszą prawdę od tej, jaką oni dotąd za niewzruszoną podawali.

Jak wiadomo, kilka fragmentów, obejmujących około pięciuset wierszy, spisanych bezładnie na dwudziestu dwóch kartach mickiewiczowskiego autografu, nazwano w pośmiertnych wydaniach poezyj wieszcza pierwszą częścią „Dziadów". Obejmują one: 1-o monolog dziewczyny w samotnym pokoju, 2-o scenę starca z wnukiem i piosenkę tegoż wnuka, 3-o scenę guślarza i chóru młodzieńców, 4-o pieśń i monolog Gustawa, tudzież scenę pomiędzy Gustawem a czarnym myśliwym. Otóż Dr Kallenbach ułamki te uważa stanowczo za część pierwszą „Dziadów", określając je pięciorako: raz, jako „szczątki pierwotne" utworu, następnie, jako „pierwszy plan i pierwszy pomysł jakiejś całości, rysującej się w wyobraźni poety", dalej, jako „luźne sceny *(disiecta membra)* rzucone na papier i służyć mające za podstawę późniejszego artystycznego połączenia", jeszcze dalej, jako „obraz pierwszych związków poematu, który z czasem wybujać miał ponad zamysły poety" i w końcu jako „ważny i niezbędny prolog do tego, co nastąpi w części drugiej".

Łatwo spostrzedz, że te różnorodne określenia sprzeciwiają się sobie wzajemnie. Słusznie twierdzi Konopnicka, że gdyby jedno z pięciu „tłómaczyło wszystkie cechy owych fragmentów, cztery pozostałe byłyby całkiem zbytecznemi. Sama zaś ich mnogość wskazuje na nieujęcie przedmiotu w jego właściwej istocie". W rzeczy samej wszystkie są gołosłowne i żadnym logicznym dowodem nie poparte. Kruchość ich rozbija poetka bardzo konsekwentną, rzeczową argumentacyą, popartą przykładami, zestawieniami i porównaniami; świadczącą nietylko o doskonałem pojęciu i ujęciu uczuć i myśli Mickiewicza, o wniknieniu w tajemniczy proces jego twórczości, lecz zarazem i o zdolności autorki do krytycznego wnioskowania z psychicznego materyału, dostarczonego przez życie i dzieła poety. Grunt psychologiczny jest Dr Kallenbachowi zupełnie obcy; jak Konopnicka się wyraża: „parzy mu stopy, więc co rychlej z niego się cofa"; stąd też w orzeczeniach jego brak ładu i ścisłości, widocznem zaś jest tylko ciągłe wahanie. Wobec tego poetka podejmuje rzecz całą na nowo i przedstawia ją nam w odmiennem oświetleniu, odpowiadającem bezwzględnie istocie przedmiotu. Za krytyczny punkt wyjścia bierze pewny i niezaprzeczony fakt, wskazany zresztą nawet przez samego wieszcza w przedmowie do wileńskiego wydania „Dziadów" z 1823 roku; fakt ten stwierdza, że jądrem pierwotnego pomysłu poetycznego dramatu jest „obrzęd ludowy" i „ludowość", która w „dzieciństwie sielskiem, anielskiem" owładnęła duszą poety. Opierając się na tym fundamencie, dowodzi biegle, racyonalnie i z przedziwnem zrozumieniem bolesnego wpływu, jaki wytworzyć musiała gorąca miłość Adama dla sentymentalnej Maryli, że o ile ludowość, z bardzo małymi wyjątkami, przejawia się w całej swej sile w części drugiej, czwartej i trzeciej, o tyle w tak zwanej pierwszej, złożonej z fragmentów, odszukać się nie daje. Stąd wniosek, że ułamki nie są początkiem poematu, poprzedzającym część drugą, ani pierwszym planem, ani kompozycyjnym pomysłem, lecz późniejszemi usiłowaniami rozsnucia odmiennie ukształtowanego dzieła na wrażeniach chłodniejszych z chwili przełomu. Posiadają „znaczenie psychologicznego dokumentu głębokiej rozterki w duchu samego poety, rozterki, która, poddając coraz to inny motyw pod światło artystycznego rozmysłu, rozmysłowi temu ustalić się nie dała, siłę jego twórczą i organizującą użyła i, udaremniwszy ją, sama wreszcie roztrąciła własną burzą w potężny gruz cały ten materyał, z którego rozmysł ów miał budować dzieło".

Niepodobna w krótkiem sprawozdaniu dziennikarskiem streścić wiernie studyum Konopnickiej, bez uronienia wielu cennych myśli. Chcąc je przedstawić należycie trzebaby niemal całe przepisać, tak bogate są te nowe, jak kryształowe wody zdrojów, czyste poglądy na „Dziady", o których nie śniło się naszym arystarchom. Wyłuskała ona „ziarno prawdy, ze wszystkich kryjących ją osłonek", wbrew mnożącym je definicyom krytyków, z których jedni ważną kwestyę rozwoju wielkiego narodowego dzieła banalnością sądów swych zbagatelizowali, inni zaś, bezradnie jej się jąwszy, bezładnie opuścili, nierozwiązaną". Dowiodła zgodnie z istotą wyłuskanej prawdy, „że tylko ludowość, że tylko jej miara, jej linia, niewątpliwie wskazać nam może, co w „Dziadach" powstało wpierw, a co potem". „Ona to, ta ludowość wskazuje obrzędową scenę w kaplicy, jako jądro, jako zawiązek dzieła, jako iskrę twórczą, od której się wypaliło

ognisko natchnienia, i której błysk pierworodny, żywy, przeniknął na wskroś dzieło". Ona jest pierwszą „w niej bowiem uderza moment socyalny taki, (widmo pana i kruki), jaki się już w poczyach Mickiewicza nie powtórzył, i jaki tylko przez bezpośrednie i silne potrącenie fali ludowości o ducha poety, wejść mógł do dzieła". Ile razy duch ten połączył się z nią w swym orlim locie, tyle razy „dzieło potężniało", a dowodem tego najwymowniejszym wszystkie wielkie momenty trzeciej części, które z jej motywów wyrosły.

Drugie studyum, zawarte w książce Konopnickiej, nosi miano „Potrety piórem". Jest to wykwintnie i z poetycznym polotem dokonane zestawienie wszystkich, choćby tylko kilkowierszowych wizerunków Mickiewicza, jakie autorka znalazła w książkach, listach i pamiętnikach współziomków i cudzoziemców, nakreślonych pod bezpośrednim wrażeniem „oglądania jego oblicza". Wiele z nich „zaledwie szkicem, rzuconym pośpiesznie, doraźnie, ręką drżącą jeszcze od świeżego, bezpośredniego wzruszenia, i jakby dla zatrzymania ubiegającej, a pamiętnej chwili". Poetka tworzy z nich cudną galeryę, oprawioną w ramy swego kunsztownego, przepięknego stylu, exponowaną w promieniach światła, płynących z jej własnego spojrzenia. Kończy się zaś portretem, namalowanym przez samego mistrza. W nim rysy jego wieszczego ducha — rysy pokory, gieniusza, nadziei i miłości — odbijają się najwyraźniej:

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.
I będzie błyszczeć na świadectwo wierze.
Gdy łuną klęski z niebieskiego stropu,
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Zygmunt Sarnecki.

Na Słoweńsku.

(Dokończenie.)

Życie tygodniowe skupia się przeważnie po domach, wśród ścian i murów. W Żeleźnikach, wiosce nie dochodzącej liczbą ludności do tysiąca, trudnią się przeważnie garbowaniem skór. Nieliczni są jeszcze kowale, których dawniej tu sporo było, kiedy jeszcze żelazo opłacało się tam wydobywać i póki przemysł wielki nie zgniótł domowego. Po za domem spędzają jedynie pasterze po godzin kilka dziennie, wypasając krówki i owce po zielonych stokach górskich. Rolnictwo udaje się wcale pięknie ale tylko w szerszych dolinach, w zakątkach uciekają się do przeróżnego przemysłu domowego. Płody tak ziemne jak i wyroby przemysłu wywożą na północ, więcej na południe. Szkoda, że stosunki ich handlowe kończą się w Tryeście, gdzie pośrednikami między nimi a resztą Europy południowej i zachodniej stają się Włosi, nad czem młodzi ekonomiści słoweńscy bardzo biadają. Pragnęliby oni świat słoweński zetknąć z Francyą, Anglią i Lewantem bezpośrednio, dotąd jednak siły po temu nie mają.

Życie prawdziwie na zewnątrz ujawnia się dopiero w dzień świąteczny. Przy pięknej pogodzie ledwie do obiadu zasiadają w domu, zresztą są albo w ogrodzie, w polu lub w kościele. Sądziłem, że zobaczę jakie stroje barwne narodowe, boć to przecie zakątek górski, ale nie. Szaty ich są kroju powszechnego, kamizelkowego z odcieniem prostoty wiejskiej. Chustki kobiece cechują się jedynie barwnością, ale przecie nie tak wielką jak u naszych krakowianek. Wieczorem siedzą gospodarze w gospodzie (gastilnica) przy szklaneczkach wina. Piją przeważnie wino czerwone i raczą się niem obficie; nic dziwnego, skoro litr wybornego wina kosztuje 50 halerzy. Piwa prawie nie znają, bo bardzo drogie. Wódki znać nie chcą i wydziwić się nie mogą, jak mogą być ludzie, co napój podobny piją z upodobaniem. Niema też pomiędzy nimi żadnych kłótni i sporów przy szklance, a bójki są prawie nieznaną rzeczą w gospodzie. Parobcy i junacy śpiewają sobie piosenki miłosne i narodowe, których każde słuchać może ucho. Wszystkie, ile ich słyszałem, są łagodne, czasem rozczulająco-rzewne i z małemi zmianami lub odcieniami tonem i melodyą sobie podobne. Ale nie wszyscy piją i gwarzą w gospodzie. Młodzików tu nie widać, a przecież u nas nie jest rzadkością spotkać chłopca z rodzicami, nawet samego w gospodzie, zwłaszcza we wschodniej Galicyi.

Wielce się zbudowałem i ucieszyłem, gdy mię towarzysze moi wprowadzili do niewielkiego domku, gdzie na piąterku się mieści czytelnia ludowa gminna. Nie wiele tam jest rozmaitości, ale co najpotrzebniejsze, tego nie brak, a więc katolicko-narodowy „Slovenec", karyntyjskie jedyne czasopismo „Mir" (pokój), „Slovencki narod", jedyny słoweński obrazkowy dwutygodnik „Dom i svět", „Slovenka" czasopismo dla kobiet, „Ljubljanski zvon", i inne pomniejsze czasopisma słoweńskie, przeważnie gospodarcze. Księgozbiorek liczy tomów na dziesiątki, ledwie się setek dobija. Przy niewielkiej ilości strawy duchowej wielu jest przecież, łaknących obroku dla duszy. Najpoczytniejszą jest „Zadruga", czasopismo narodowo-gospodarskie, wydawane w Cylei. Najsilniej bowiem na całym Słoweńsku rozwinięte jest życie narodowe na polu gospodarczem. Przeciwsłowiańskie zapędy „Südmark'i" wstrzymuje i hamuje niedawno powstała „Zveza slovenskich posojilnic v Celjī" i „Z kranjskich p. v Ljubljani" (związek kas pożyczkowych) i „Gospodarska zveza", jak znowu w szkolnictwie "Schulverein'owi" przeciwdziała „Družba svetega Cirila i Metoda" (towarzystwo św. C. i M.)

„Družba sv. C. i M." ma dla narodu słoweńskiego znaczenie bardzo doniosłe. Stowarzyszenie to opiekuje się oświatą ludu, wydaje dlań książki, tak nabożne jakoteż i światowe, zakłada szkoły ludowe i szerzy życie umysłowe wśród warstw niższych. Pomagają mu „Slovenska matica" i „Družba sv. Mohora". Macierz słowieńska liczy po nad 3000 członków; każdy z nich płaci rocznie 4 korony, a otrzymuje za to 7 dziełek, wartości o wiele większej, Podobnie to ostatnie towarzystwo za 2 k. rocznie daje swym członkom 6 książek, ceny nierównie wyższej np. w 1898 jednę z nagród stanowiła historya cesarza Franciszka Józefa I., bogato i pięknie obrazkowana, dzieło za które trzebaby inaczej co najmniej 6 k. zapłacić. Obliczono też, że prawie każdy 17-ty Słoweniec jest członkiem tego stowarzyszenia, które liczyło w r. 1898 już 77.130 a w roku następnym 78.103 członków. Czemś podobnem mogliby się pochwalić Czesi chyba. Ma też Družba sv. M. swoją drukarnię i dom swój własny w Celowcu.

Dowiedzioną jest dziejowo rzeczą, że swobody nie każdy użyć umie, ale też, że, kogo gnębią, ten się hartuje i zatrwala do boju. Nie mają swobody Słoweńcy. „Dopiśnicy" ich w Słowiańskim przeglądzie rozpaczliwie biadają nad dolą swych ziomków. Spoczęła na nich ciężka dłoń germańska, gnębi ich zapalczywość Włochów. „Kiedyż przyjdzie dzień prawdy i sprawiedliwości? Snać dopiero w sądny dzień w dolinie Józefata; do tej nam snać doby przeznaczona krzywda i ucisk. Biada słabym i opuszczonym! Biada nam italskim Słoweńcom, którzy nie mamy nikogo, coby się za nami ujął!" ¹) „Jak smutne jest narodowe położenie tej straconej strażnicy słowiańskiej, zapomnianej i opuszczonej, któraby mogła z całą słusznością zawołać ku matce Slawii: Ave, Slavia! morituri te salutant!" ²) Na szczęście placówka słowiańska w Rezyi jeszcze się długo ostanie, tę błogą nadzieję nam przyniósł z uroczej doliny italskiej p. A. Černy w swej sprawce „Vúdolí Resie". ³) Widać, że i w Karyntyi lepsza dola im zaświta, skoro świadomość narodowa dziś większa, jak mię zapewniano, choć walkę tu mają najcięższą do stoczenia nie tyle z Niemcami, co z odszczepieńcami narodowymi. A że tego rodzaju wróg najgorszy, to i my Polacy poznaliśmy najlepiej na kresach zachodnich. Że zaś żądania tej garstki uciemiężonych nie są niesłuszne, dowodzi choćby tylko upośledzenie tego narodu na polu szkolnictwa. Wszak z językiem wykładowym macierzystym mają ledwie 656 szkół ludowych publicznych (15 prywatnych) w r. 1896, szkoły średniej zaś ani jednej, mimo że przeszło 3000 uczniów otwarcie się do swej narodowości przyznaje, a przecież w samej Krainie jest 5 gimnazyów. Zdołali sobie zdobyć kilka szkół zawodowych wywalczyć. O wszechnicę też od lat szeregu proszą i żądają, ale bezskutecznie. Młodzież, skończywszy szkołę średnią, udaje się najliczniej do Gradecu, dalej do Wiednia, Pragi i Zagrzebia. Tylko „duchownicy" zostają w Lublanie i Celowcu. W Gradecu było w roku ubiegłym około 200 akademików słoweńskich, w Wiedniu 150.

Takiem niejako „memento" na walkę narodowościową są dla skrzywdzonych napisy gminne graniczne. Niedawno władza nakazała obok napisów słoweńskich na tablicach pogranicznych umieszczać napisy niemieckie. Szkoda tylko, że walka ta nie zdoła im przynieść owoców należnych, skoro równocześnie się kłócą między sobą. Jak między Serbami a Chorwatami wrze ciągle spór narodościowy, tak wśród nich powstały znów obozy polityczne: klerykaliści i liberalni. Dochodzi nieraz spór wewnętrzny do tego stopnia, że sprawy najżywotniejsze narodowe jak n. p. stan towarzystw pieniężnych i gospodarczych tracą swą siłę, a „dopiśnicy" w Słow. przegl. muszą ironicznie swoim współziomkom domawiać, że wielcy są w małostkowościach. Niestety, natura to nie ich wyłączna. Co do kierunku działalności naro-

¹) Sl. př. I. 155.
²) Sl. př. I. 229.
³) Sl. př. 16.

„Psubraty".

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

O poszukiwaniach zarządzonych świeżo za Müllerem nie wiedział Spitzbart ani słowa. Stracił wogóle z oczu oberżystę gospody pod Złotą Armatą od chwili kiedy rozstał się z nim jako kelner; był najsilniej przekonany, że Müller siedzi jeszcze w domku drewnianym obok starej fortecy za rogatkami galicyjskiego miasteczka, czyta „National Ztg", i poprawiając czapkę z różami pali fajkę z porcelanowym cybuchu.

To też kiedy Opowski, upewniwszy się co do dyskrecyi Spitzbarta, jął mu opowiadać okoliczności, wśród jakich się z Müllerem w Wiedniu poznał, aż do zdarzenia, jakie go spotkało kilka godzin przedtem z policyą i aż do treści listu od rzekomej córki Müllera otrzymanego, Spitzbart słuchał tego wszystkiego, jak baśni o żelaznym wilku.

Zapanował jednak prędko nad sobą; z obojętnym wyrazem twarzy wyjął z kieszonki od kamizelki mały kluczyk, otworzył nim kłódkę od wielkiej księgi, począł przerzucać jej stronnice, jakby czegoś w niej szukając, wreszcie zwróciwszy się w stronę Opowskiego, rzekł:

— W moim pamiętniku powtarza się kilkakrotnie zarówno nazwisko Müllera, jak i nazwisko pani Finländer. Zdaje mi się, że odnalezienie ich nie będzie rzeczą niemożliwą. Pomoże mi do tego okoliczność, że, jak panu już wspomniałem, Müller był jednym ze znajomych mojej nieboszczki ciotki; pan pozwoli, że zapiszę sobie pańską informacyę dla tem lepszej pamięci.

I jął pisać na wielkich kartach uwagi z znudzoną miną urzędnika, wykonywującego machinalnie biurową czynność.

— Znalezienie ich, to jeszcze nie wszystko — mówił tymczasem Opowski. — Jak już panu wspomniałem, w liście jest żądanie, aby zapobiedz rozgłosowi tej sprawy, zbyt sensacyjnej, aby dzienniki nie miały się nią interesować. Jeżeli tego dokażę, mam otrzymać bardzo wysokie wynagrodzenie. Nie widzę jednak sposobu, jak się do tego wziąć i głównie dlatego tu do pana przychodzę. Proszę przedewszystkiem w tym kierunku o radę i pomoc.

Spitzbart nie odrywając się od pisania, odpowiedział:

— Biorę to na siebie. Ostrzegam jednak pana, że za to będzie mi się należało pięćdziesiąt procent otrzymanej przez pana nagrody. Nie protestuj pan; w przeciwnym razie nie podejmuję się tej sprawy. Ona mnie może wprowadzić w jakiś konflikt z urzędową policyą, a ja nie lubię mieć do czynienia z tymi niedołęgami...

I Spitzbart zadowolniony ze swego konceptu ukazał w uśmiechu białe zęby. Opowski nie miał wyboru. Po krótkim targu zgodził się na umówioną sumę.

— Czy spiszemy jaką umowę co do naszego interesu? — zapytał.

— O, to zupełnie zbyteczne! odparł Spitzbart. Ja mam sposoby wyegzekwowania od moich klijentów umówionego ustnie honoraryum. Jeszcze mi się nie zdarzyła w tym kierunku żadna przykrość, choć nigdy innych, jak tylko ustne, nie zawierałem umów. Zostawi mi pan tylko swój adres; za tydzień będę u pana ze zdaniem sprawy, jak daleko posunęły się moje dochodzenia.

Zaledwie zamknęły się drzwi za odchodzącym Opowskim, Spitzbart nerwowo, z twarzą rozpromienioną, zadzwonił do telefonu; połączony według życzenia zapytał po polsku:

— Czy to Efroim?
— Nu, ja, a tam kto taki?
— Adolf.
— Jest co nowego?
— Jest. I to rzecz bardzo ważna.
— Słucham.
— To nie można przez telefon..
— Przecie nas nikt nie zrozumie, kiedy mówimy po polsku...
— W Wiedniu za wielu ludzi umie już dziś po polsku. Ja do ciebie sam przyjdę Efroim...
— Aj waj! To musi być coś naprawdę ważnego, kiedy ty Adolf chcesz aż sam do mnie przyjść. Kiedy mam na ciebie czekać?
— Wieczorem. Ale bądź odrazu gotów do drogi. Może wypadnie wyjechać. Nie wiem jeszcze. Uradzimy to we dwóch.
— Będziesz przedtem u Salki?
— Naturalnie. Teraz sam do niej jadę. Bardzo ważna część zadania na nią przypada. Do widzenia, Efroim.
— Do widzenia, Adolf.

Po kilku minutach dorożka wioząca Adolfa Spitzbarta zatoczyła się przed elegancką willę, wzniesioną świeżo na nowo zabudowującej się ulicy Prateru. Odźwierny w liberyi otworzył bramę.

— Pani w domu? zapytał Spitzbart, protekcyonalnie kiwając głową w odpowiedzi na niski ukłon odźwiernego.

— Pani u siebie, jaśnie panie... Ale ma teraz gości. Pan dyrektor Metzger, pan baron Klopski i pan redaktor Frischenfeld...

— Pan Frischenfeld jest także? Proszę mnie prowadzić bocznemi schodami. Wybornie się składa. Lokajowi kazać oddać mój bilet.

Na bilecie nakreślił Spitzbart ołówkiem: „W ważnej sprawie — natychmiast", oddał go odźwiernemu i pobiegł kręconemi schodami; po chwili zgrabna subretka wprowadzała go do rozkosznego buduaru o barwie błękitnej, pełnego atłasu, jasnych dywanów i mnóstwa najwykwintniejszych cacek.

Sali Windstern była jedną z najpiękniejszych kobiet stolicy. Zjawiła się na jej widnokręgu dopiero niedawno, a już czarowała wszystkich Wiedeńczyków. Jej debiut w Karlteatrze był sensacyą dnia; sama Annie Dirkens podobno mdlała z zazdrości, słysząc o sukcesach Windsternównej. Każdy, kto chciał uchodzić w sferach złotego świata za „very fashionable", musiał się kochać w pięknej Sali, należeć do grona jej wielbicieli i codziennych gości w jej nowej willi na Praterze. Willę tę ofiarował Windsternównie według jednej wersyi sam Rothschild, według innej, jeden z książąt krwi.

O pochodzeniu Windsternównej wiedziano zresztą bardzo mało. Pewnego dnia w kancelaryi dyrektora Karlteatru zjawiła się młoda, bardzo piękna dziewczyna w skromnej czarnej sukni, z bukiecikiem fiołków na wydatnym gorsie, bez żadnego klejnotu, ze złotemi włosami gładko ku górze zaczesanemi. Prosiła o wypróbowanie jej głosu i pozwolenie debiutowania. Zapytana skąd przybywa, opowiedziała, że jej ojciec jest kupcem w Azyi i odbywa ciągłe niebezpieczne podróże; dopóki jej matka żyła, mieszkała z nią razem w Odessie. Matka umarła jednak nagle; ojciec wyjechał przed pół rokiem i nie dawał żadnego znaku życia; pewnie spotkało go jakieś nieszczęście, bo nawet w drodze urzędowej nie można było zasięgnąć o nim wiadomości. Fundusz wyczerpywał się, trzeba było myśleć o przyszłości. Sali przybyła tedy do Wiednia, i tu postanowiła wstąpić na scenę.

Próba wypadła świetnie; dyrektor był oczarowany. Nie mógł się także nachwalić jej prowadzenia się, odwiedziwszy ją w jej skromnem mieszkanku na bocznej ulicy, świadczącem o zupełnem ubóstwie. To też zdumienie jego nie miało granic, gdy w jakiś tydzień po debiucie, Sali zaprosiła go do swojej wspaniale urządzonej willi. Za całe wyjaśnienie tej zmiany dekoracyi, rzekła Sali z łobuzerskim uśmiechem.

— Widzi pan, to mój zagubiony ojciec dał nakoniec znak życia i przysłał mi dużo, bardzo dużo pieniędzy.

Odtąd Sali należała do najkosztowniejszych kurtyzanek Wiednia. Nie mogli tego powiedzieć literaci, artyści, politycy nawet, których Sali obdarzała niejednokrotnie najbezinteresowniejszemi łaskami, przez kaprys czy dla jakichkolwiek innych celów. Wiedzieli jednak o tem panowie z plutokracyi i sfer najwyższych, których czarująca diva traktowała „en canaille", przed którymi zamykała drzwi swego mieszkania i którzy majątki musieli składać u jej stóp, aby ją zdobyć na przeciąg kilku dni zaledwie. (C. d. n.)

Wacław Pancerz.

dowej na zewnątrz, to kierują swe oczy na północ. W potędze cara widzą jedyną ostoję słowiańszczyzny i bodźca im dodaje myśl, że Germanii mogą przeciwstawić choć jedno mocarstwo słowiańskie. Wiedzą oni dobrze, że zjednoczenie narodów im pokrewnych pod berłem tego mocarza północy jest prawie niemożliwe i może nie zbyt korzystnemby dla wszystkich było, znają bowiem nasze stosunki polskie z Rosyą i to ich istotnie zastrasza, pocieszają się tylko tą myślą, że z bratem Czechem i Lechem snadniejby im było się stawiać przeciw knutowi, a zawsze przecież bliższy jest Słowianinowi Słowianin niż innoplemieniec. To jest zapatrywanie młodych głów, którego jako młody sam oceniać nie myślę i nie zdołam. Jednem słowem węzły „znajomstwa" zacieśniają się ciągle między Rusem, Czechem a Słoweńcem, Polak stoi trochę na uboczu. Najlepszą pomiaru jednostką w tym sojuszu ich duchowym jest literatura słoweńska, w szczególności ich jedyny literacki miesięcznik „Ljubljanski zvon".

Na przedostatniej stronicy każdego zeszytu tego czasopisma mamy, jak wogóle, wyliczone książki, nadesłane „składnictwu". Sporo co prawda, odsetkowo licząc, dostają książek od sąsiednich Chorwatów, ale najwięcej potem z Rosyi, następnie od Czechów a prawie rzadkością jest książka polska. Jak zatem na innych polach, tak i tu mało istotnie robimy dla braci południowych, choć przecież oni najwięcej z nami współczują, najpodobniejszą naszej dolę historyczną w cierpieniach podobno przebyli i od nas najchętniejby pomoc przyjęli.

W literaturze swej młodej nie mają sił wiele i dziś przeważnie opierają się na młodych swych poetach jak Iwan Cankar („Erotika"), Oton Zupančič („Čaša opojnosti") (młody słuchacz filozofii w Wiedniu) i inni. Ze starszych dźwignią jest Oškerc, który, jako naczelnik składnictwa Lublańskiego dzwonu, dokłada wszelkich starań, by czasopismo swe utrzymać na należnej wyżynie. W grudniu tego roku będą mieli pisarze słoweńscy sposobność pokazać swą siłę duchową, obchodzą bowiem setnicę urodzin swego pierwszego wieszcza narodowego Franciszka Prešerna (1800-1849 „Poezye"), a „Ljubljanski zvon" wzywa wszystkich pracowników i czytelników swych, by nadsyłali swe prace nad życiem i twórczością wielkiego liryka lub też własne jemu poświęcone utwory. Czas określony do 1 listopada. Czy też z Polaków który poświęci tam choć słów parę Oškercowi? Wolno nam mieć nadzieję, skoro w najświeższych zeszytach znaleźliśmy roboty literackie dwóch naszych profesorów gimnazyalnych, za co im się i od nas wdzięczność należy (Ign. Stein „O Sienkiewiczu", A. Mazanowski „Najmłodsi polscy noweliści").

Tłómaczyli dotąd wiele Słoweńcy z rosyjskiego i czeskiego, nie mówiąc już o przyswojeniach z najbliższej serbo-chorwackiej literatury. Dziś zaczęli już uczyć się polskiego języka dla Sienkiewicza, by się nie dać innym dłużej wyprzedzać. Spodziewamy się, że zapoznani z naszymi nowelistami, wzbogacą swą literaturę nie jednem zajmującem dziełkiem naszej powieści, a gdy zaczniemy się wzajemnie poznawać, w tym i owym kierunku sobie dłoń podawać, możemy się jasnej spodziewać chwili dla stanowiska naszego w Słowiańszczyznie przynajmniej w austrowęgierskich granicach.

Powyższych zdań kilkoro to luźne tylko i oderwane uwagi, od których wypowiedzenia nie wstrzymywać się, uważałem za rzecz nie niepożyteczną dla moich kolegów na Wszechnicy, zwłaszcza, że może też ktoś powołany, przeczytawszy me słowa nieudolne, uweźmie się i stworzy nam coś podobnego do dziełka prof. Zawilińskiego o Słowakach.

Areigam.

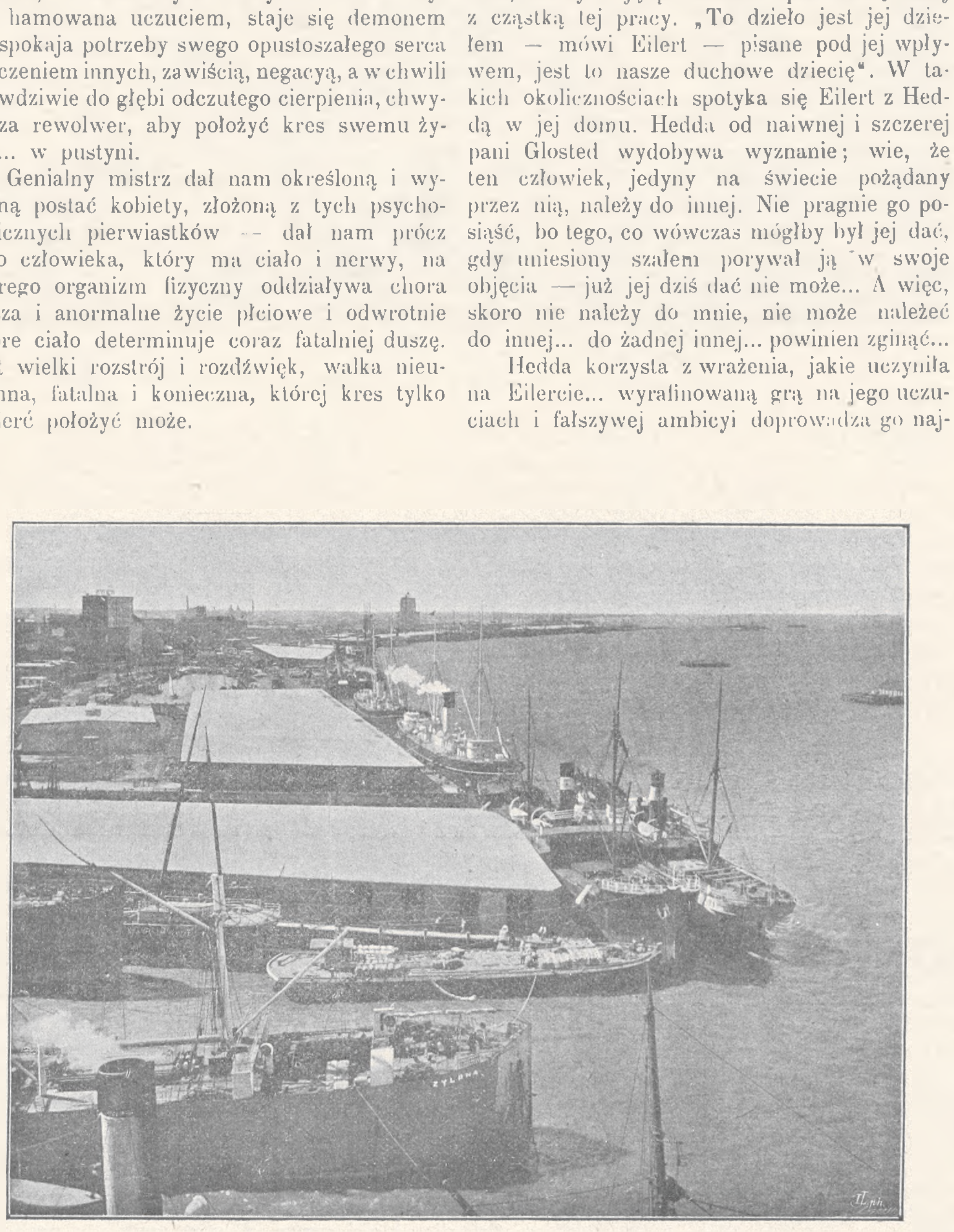
Z TEATRU.

Hedda Gabler, sztuka w 4 aktach Henryka Ibsena, grana po raz pierwszy w teatrze krakowskim dnia 6 października 1900 r.

„Hedda Gabler" pochodzi z tej samej dziedziny pomysłów i twórczości wielkiego dramaturga północy co „Oblubienica morza". Tu i tam nieokreśloność pragnień kobiecej duszy, tu i tam wybitna indywidualność, nacechowana wybujałym cynizmem, wybujałym tem bardziej, że są to dusze kobiece z natury już skłonne do czynienia siebie samych ośrodkami życia i żądne, aby one same tylko były tego życia normą i prawem bez względu na rzeczywistość. Tylko „Oblubienica morza" ma subtelniejszy system nerwowy, polotną fantazyę i wiele uczucia — jest duszą przebudzoną głosem z krainy rzeczywistych pięknych wspomnień o człowieku, z którym zaznała rozkoszy umiłowania i któremu ślubowała wierność dozgonną, jest wskutek tego samotną w życiu swych marzeń i obcą w otoczeniu znajomych i rodziny — podczas, gdy Heddy dusza nie zbudziła się wcale do życia uczucia i uszlachetnionych przez nie marzeń, czy fantazyi; ona stanęła u progu swego kobiecego przebudzenia i wyniosła z tego zdarzenia niezaspokojoną już nigdy ciekawość i pragnienie: ciekawość wrażeń, jakich doznaje kobieta, oddająca swą miłość człowiekowie wybranemu i dobranemu i pragnienie tej rozkoszy, pobudzone zawodem, jakiego doznała w związku z innym mężczyzną.

Wszystko to składa się na wielką pustkę, w której żyje Hedda. A że przy tem posiada wszystkie cechy kobiety niepowszedniej: wybitny egoizm, poczucie swej wartości, jako kobiety pięknej i dlatego uwielbionej, temperament, ciekawość życia i zmysłowość — więc nie hamowana uczuciem, staje się demonem i zaspokaja potrzeby swego opustoszałego serca dręczeniem innych, zawiścią, negacyą, a w chwili prawdziwie do głębi odczutego cierpienia, chwyta za rewolwer, aby położyć kres swemu życiu... w pustyni.

Genialny mistrz dał nam określoną i wyraźną postać kobiety, złożoną z tych psychologicznych pierwiastków — dał nam prócz tego człowieka, który ma ciało i nerwy, na którego organizm fizyczny oddziaływa chora dusza i anormalne życie płciowe i odwrotnie chore ciało determinuje coraz fatalniej duszę. Jest wielki rozstrój i rozdźwięk, walka nieustanna, fatalna i konieczna, której kres tylko śmierć położyć może.



Port galvestoński w Texas (Ameryka północna) zniszczony przez cyklon. Widok przed katastrofą.

Hedda Gabler jako młode dziewczę poznała człowieka o szerokim polocie umysłu i serca, naturę niezwykłą i wrażliwą, skłonną zarówno do wzniosłości jak do upadku, wreszcie człowieka wyposażonego porywającą zmysłowością — Eilerta Lōwborga. Więcej niż literatem lub uczonym był Eilert artystą, umysłem więcej krytycznym niż twórczym, więcej interesującym i ponętnym pessymistą, niż żądnym spowszedniałych tryumfów społecznym pracownikiem.

Kochał Heddę miłością świadomą — Hedda kochała go nastrojem nieprzebudzonej jeszcze kobiety i ową ciekawością, która podniecała jej zmysły i siłą fatalności popychała ją w objęcia Eilerta. Ale w stanowczej chwili, kiedy Eilert w uniesieniu zapragnął posiąść kochankę, silna jej dusza zdobyła się na taki, (naturalny zresztą w tem położeniu u każdej kobiety) odruch, że Eilert nie pokonawszy go, cofnął się.

Potem rozeszli się na zawsze — On, jak to mówią, „puścił się" — pił, hulał, rozbijał się po świecie, lecąc na oślep za swojemi wrażeniami i fantazyą. Ona pozostała sama z niezaspokojoną nigdy ciekawością miłości i żądzy... i coraz więcej świadomym żalem w duszy, że w owej chwili uniesienia nakazała milczenie porywom uczuć i zmysłów, sama nie mogąc sobie zdać sprawy, dlaczego...

Wkrótce potem Hedda niespokojna, zniechęcona, znudzona, apatyczna, umęczona ciekawością, której zaspokojenia, takiego jak pragnęła, już się nie spodziewała, wychodzi sama nie wiedząc jak, „wyswatana" za młodego uczonego Tesmana, który kocha ją, jak kocha żonę każdy porządny, szanujący się obywatel a do tego uczony. Ulega jej nrokowi zupełnie, rujnuje się na zaspokajanie jej coraz nowych zachceń, które w chwili urzeczywistnienia tracą dla niej wszelką wartość, podziwia jej piękność, ale też nie zaspakaja jej „ciekawości", nie zdolny jest dać nastroju jej zmysłom. Życie małżeńskie codzień więcej utwierdza w Heddzie przekonanie, że odpychając Eilerta w stanowczej chwili, straciła niepowrotnie wielkie, jedyne dobro kobiety: zrozumienie i odczucie prawdziwej miłości w pierwszej chwili oddania się upragnionemu człowiekowi.

Tymczasem Eilert Lōwborg, przeszedłszy wszystkie skale burzliwego życia, objął posadę nauczyciela w domu starego wdowca, który pojął był za żonę młodą i piękną, pełną prostoty, uczucia i szczerości dziewczynę, a niegdyś nauczycielkę swych dzieci. Między Eilertem a młodą kobietą nawiązuje się wkrótce serdeczny stosunek; Eilert poddaje się dobroczynnemu wpływowi gorąco go kochającej p. Glosted, odradza się moralnie. Zrywa z hulaszczem życiem, przestaje pić, zabiera się do pracy i pisze dzieło pełne takiego polotu i oryginalności, że wprawia w zdumienie wszystkich, którzy mają sposobność zapoznać się bodaj z cząstką tej pracy. „To dzieło jest jej dziełem — mówi Eilert — pisane pod jej wpływem, jest to nasze duchowe dziecię". W takich okolicznościach spotyka się Eilert z Heddą w jej domu. Hedda od naiwnej i szczerej pani Glosted wydobywa wyznanie; wie, że ten człowiek, jedyny na świecie pożądany przez nią, należy do innej. Nie pragnie go posiąść, bo tego, co wówczas mógłby był jej dać, gdy uniesiony szałem porywał ją w swoje objęcia — już jej dziś dać nie może... A więc, skoro nie należy do mnie, nie może należeć do innej... do żadnej innej... powinien zginąć...

Hedda korzysta z wrażenia, jakie uczyniła na Eilercie... wyrafinowaną grą na jego uczuciach i fałszywej ambicyi doprowadza go najpierw do tego, że się upija. Pijany spędza całą noc w domu rozpusty. i gubi rękopism swego dzieła, napisanego razem z „aniołem jego duszy" panią Glosted. Rękopism ten znalazł mąż Heddy, przyjaciel Eilerta. Oddał go żonie do przechowania, póki Eilert sam go sobie nie odbierze. Hedda niszczy rękopism... niszczy dziecię tych dwojga znienawidzonych ludzi: Eilerta, którego już nigdy posiadać nie może takim jak chciała i pani Glosted, która jednak zdobyła jego miłość...

Eilert oprzytomniawszy spostrzega brak rękopisu... Złamany przychodzi do Heddy — spowiada się jej z nieszczęścia jakie go spotkało. Upadł i zatracił wszystek moralny dorobek, zagubił dziecię jej duszy, rękopism; wracać do tej kobiety nie ma już po co. Demon-Hedda tryumfuje. Na zrozpaczoną duszę Eilerta sączy po kropli jad ironii i podsuwa mu myśl o samobójstwie. Eilert chwyta się tej myśli... Hedda daje mu rewolwer: „idź i zgiń pięknie — mierz w skroń"...

Wszystko się stało. — Eilert zginął u dawnej swojej kochanki, trafiony... w brzuch. Hedda nie ma pewności czy zabił się sam, lub czy został zabity. — Przy tem zginął tak nie pięknie... trafiony w brzuch .. O czem pomyśli tylko... zawsze rozbije jej marzenia rzeczywistość! — Pistolet dany Eilertowi przez Heddę, dostał się w ręce policyi. Toczy się śledztwo... poznał tę broń lowelas miejscowy, radca Brack, ubiegający się o względy Heddy...

„Jeżeli ja będę milczał, unikniesz pani śledztw i skandalu, ale w zamian za to milczenie"...

Hedda nie może ani chwili żyć z myślą, że będzie niewolnicą tego człowieka... Całe życie w lęku i przymusie?... Nigdy... Odbiera sobie życie w chwili, gdy jej mąż Tesman razem z panią Glosted usiłuje z różnych notatek Eilerta złożyć jego wielkie, ręką Heddy zniszczone dzieło.

Bogata treść, przeprowadzona prawdziwie po ibsenowsku, z prawdą i siłą w przewlekłym nieco, ale zajmującym dyalogu. Tu i owdzie nieprawdopodobieństwo, gdzieniegdzie jakiś zużyty efekt sceniczny, nie osłabiają potężnego wrażenia, jakie rzecz sama na widzach wywiera.

Niestety publiczności, która słuchała sobotniej premiery, utrudniła jej zrozumienie pani Siemaszkowa. Bo też artystka tej roli nie zrozumiała. Zamiast kobiety namiętnej i żądnej wrażeń i podniet życia, stworzyła limfatyczną postać złośliwej histeryczki... W tej Heddzie nie było żadnych wpływów psychologicznych, tylko rozstrojone nerwy; widzowie sądzili, że mają do czynienia tylko z jakimś psychopatologicznym okazem, który zawsze, choćby nawet podpalał i mordował, winien być oceniany tylko ze stanowiska lekarskiego. Takiej Heddy z pewnością Ibsen mieć nie chciał. Było też w grze p. Siemaszkowej więcej usterek niż zwykle. Jak mogła artystka tej miary co pani Siemaszkowa, tę nudę i pustkę, która opanowuje Heddę, wyrażać banalnym środkiem, nawet w formie niewłaściwym... ziewaniem!

Pani Morska jako pani Glosted również, prócz paru szczęśliwych scen, na ogół nie podołała zadaniu. Chęć wyrażenia prostoty i szczerości pochłonęła uwagę pani Morskiej zupełnie a wskutek tego zapomniała o wyrażeniu w grze tej podniosłości i wyższości ducha kochającej kobiety która dźwignęła z upadku Eilerta, a jest psychologicznym kontrastem Heddy.

Pani Wolska klasycznie, niezrównanie zagrała dobroduszną ciotkę Tesmana.

Doskonały, obmyślony i motywowany typ stworzył z roli Eilerta p. Zawadzki. Scenę z Heddą w trzecim akcie zagrał p. Zawadzki, bajecznie. P. Sobiesław jako radca Brack, grał z ogromnem ożywieniem. Przepysznym był w ostatniej scenie aktu czwartego. Pan Sosnowski trudną rolę Jörgena Tesmana pokonał szczęśliwie. Gra tego artysty odznaczała się mimo małych usterek sumiennem obmyśleniem, jednolitością i swobodą.

Za kalectwa języka w przekładzie Heddy Gabler wstydzić się powinna polska dyrekcya teatru.

Dr. Włodzimierz Lewicki.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa

(Ciąg dalszy.)

II.

Dwanaście lub piętnaście lat temu w mieście na jednej z pryncypalnych ulic, we własnym domu żył wyższy urzędnik nazwiskiem Gromow, człowiek solidny i szanowany ogólnie. Miał dwóch synów Sergiusza i Jana. Otóż starszy syn Sergiusz, będąc już studentem uniwersytetu na czwartym kursie, dostał galopujących suchot i umarł. Byłto jakby początek całego szeregu nieszczęść, które z tą chwilą na szanowaną rodzinę Gromowych spadły. Niespełna w tydzień, stary ojciec wezwany był pod sąd za długi i defraudacye, a zasądzony w krótce umarł na tyfus w więziennym szpitalu. Całe ich posiadłości przez licytacyę sprzedano, a biedna matka i Jan Dmitricz zostali bez najmniejszych środków.

Za życia ojca, Jan Dmitricz będąc na kursach dostawał miesięcznie około 70 rubli, to też żyjąc spokojnie, nie wiedział co to jest potrzeba; teraz zmuszony był zmienić sposób życia. Zaczął dawać płatne lekcye, zajmował się przepisywaniem i nieraz przymierał głodem, gdyż z tego musiał posyłać jeszcze matce na utrzymanie. Ale nie wytrzymał walki z życiem. osłabł moralnie, opuścił się, rzucił wreszcie uniwersytet i wrócił do domu. Tam korzystając z dawniejszych protekcyj dostał miejsce nauczyciela w rządowej szkole, ale nie sympatyzując z kolegami i nie zbliżywszy się do uczniów rzucił miejsce. W końcu umarła matka. Z pół roku wałęsał się bez bez miejsca żyjąc tylko chlebem i wodą, aż znowu przyjęto go do sądu. To miejsce zajmował do chwili obłąkania.

Co prawda, to on nigdy, nawet za studenckich czasów nie miał wyglądu zdrowego. Zawsze był blady, chudy i łatwo podlegał zaziębieniu, mało jadał i źle sypiał. Od kieliszka wina kręciło mu się w głowie i dostawał niemal chisterycznych napadów. Zawsze go coś ciągnęło do

Próba klisz z kalendarza »Głosu Narodu«.



Z. wojny chińskiej. Walka na murach fortu w Taku.

ludzi, ale dzięki rozdrażnieniu ciągłemu i pewnej skrupulatności nie żył z nikim w bliższych stosunkach. O mieszczanach mówił zwykle z ironią, że ich małostkowe, jednostajne i bezbarwne życie, wydaje mu się wstrętnem i nieznośnem. Mówił tenorem, głośno i gorąco a nie inaczej jak z niechęcią, lub wzruszeniem lub strachem i zdziwieniem, ale zawsze otwarcie. O czem zaczniesz z nim mówić, zawsze wraca do jednego: w mieście duszno i nudno, społeczeństwo nie interesuje się wyższemi celami, on sam żyje bezmyślnie, obłudą, gwałtem i podłością: szubrawcy syci i ubrani, a zacni ludzie cieszą się łachmanami i okruszynami; potrzeba reformy, szkół, gazet o dobrych i szlachetnych ideach, teatru, odczytów, żeby wytwarzać ludzi inteligentnych; trzeba, ażeby społeczeństwo poznało swoją nicość i zrozumiało odpowiedzialność. W swoich sądach o ludziach miał tylko krańcowe farby, tylko białą i czarną, nie przyznawając żadnych odcieni. Ludzkość dzieliła się tylko na honorowych ludzi i szubrawców — środka nie rozumiał. O kobietach i miłości zawsze mówił z niechęcią i strachem, chociaż w życiu nigdy nie kochał.

W mieście nie uważając na jego dziwaczne pojęcia i nerwowość lubili go i nazywali za oczami zdrobniale: Jankiem. Jego wrodzona delikatność, usłużność, czysty, znoszony żakiet, chorobliwy wygląd, rodzinne wielkie nieszczęścia, usposabiały dla niego życzliwie, a ponieważ był dobrze wychowany i oczytany, więc w pojęciu mieszczan używał opinii wszystko-wiedzącego.

Czytywał dużo. Bywało w klubie podparłszy brodę na ręce przegląda pisma i książki, ale po twarzy widać, że nie czyta lecz pożera. Można przypuszczać, że czytanie było chorobliwą manią, patrząc, jak bez wyboru brał wszystko co wpadło w ręce, nawet stare gazety i kalendarze.

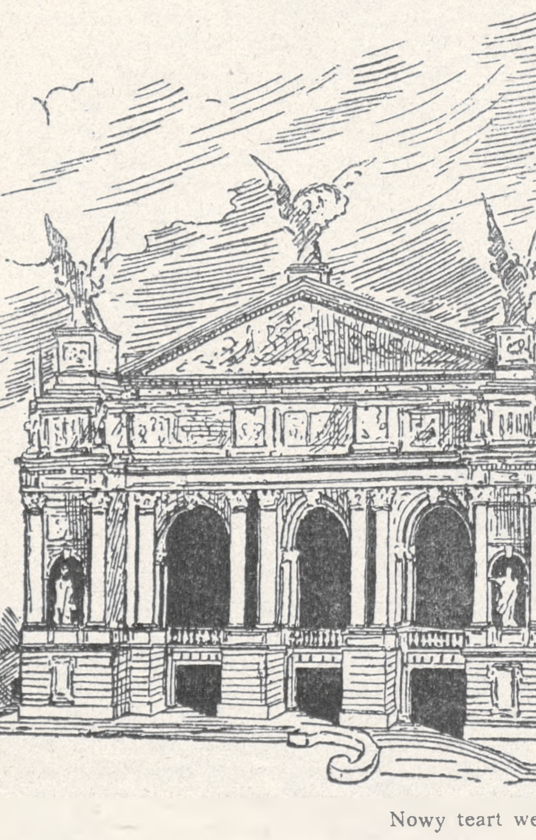
W domu czytywał zwykle leżąc.

III.

Pewnego dnia jesiennego rankiem, podniósłszy kołnierz swojego płaszcza i człapiąc po błocie, szedł Jan Dmitricz zaułkami miasta do jednego mieszczanina, ażeby odebrać pieniądze za komorne. Usposobiony był spokojnie, jak zwykle rano. W jednej z wązkich ulic spotkał dwóch aresztantów w kajdanach a za nimi czterech konwojowych z bronią. Ile razy Jan Dmitricz zobaczył więźniów, zawsze doznawał uczucia litości i czegoś nieprzyjemnego, ale dziś opanowało go inne uczucie. Nie wiadomo dla czego przewidziało mu się, że z nim mogą zrobić jak z tamtymi, i jego zamknąć w kajdany i prowadzić będą po jesiennem błocie do więzienia. Wracając od mieszczanina do domu spotkał znajomego urzędnika z policyi, który przywitawszy się, poszedł z nim, kilka kroków, a jemu zdawało się to naraz czemś podejrzanem. W domu cały dzień nie wychodzili mu z myśli aresztanci i żołnierze z bronią, a jakaś obawa mięszała mu myśl i nie dała czytać ani skupić w jedno uwagi. Cały wieczór nie palił lampy a nocą nie spał, a myślał o tem, że i jego mogą aresztować, zakuć i wsadzić do więzienia. Wiedział, że jest niewinny i mógł przysiądz, że w przyszłości nigdy i nikogo nie zabije, nie podpali, i nie okradnie; czyż jednak nie możebne zrobić coś bezwiednie, a może tylko padnie podejrzenie, nakoniec pomyłka sądu? Nie darmo stare przysłowie mówi: „od kościoła, więzienia nie zarzekaj się“. A omyłka w sądzie przy obecnej ustawie, zupełnie możliwa. W ogóle ludzie mający wiele styczności z ludzkiemi nieszczęściami np.: sędziowie, doktorzy, policyanci, z następstwem czasu wprost z przyzwyczajenia, dochodzą do takiego zobojętnienia, że nie rozumieją i nie biorą ich inaczej, jak tylko formalnie, urzędowo. Z tego też powodu robią wrażenie rzeźników, którzy rznąc barany i cielęta nie widzą krwi. W tym bezmyślnym sądzie jednostek, ażeby zasądzić niewinnego potrzeba sędziemu tylko czasu, tylko czasu na załatwienie pewnych formalności, za które mu płacą pensyę, a potem koniec. A potem szukaj sprawiedliwości w tej małej, brudnej mieścinie, oddalonej od kolei ze dwieście wiorst! Więc czyż nie śmieszna myśl o tej sprawiedliwości, jeżeli każdy gwałt spotyka się w tem społeczeństwie jako cielesna konieczność i każdy czyn miłosierdzia, naprzykład sądowa obrona, wywołuje cały szereg niezadowolenia i mściwego uczucia.

Na drugi dzień rano Jan Dmitricz obudził się przerażony, oblany chłodnym potem i głęboko przekonany, że lada chwila mogą go aresztować. Jeżeli wczorajsze przygnębiające myśli tak długo nie opuszczają go, rozumował to znaczy w nich jest przeczucie prawdy. Przecież nie mogły przyjść do głowy bez powodu.

Stójkowy powolnie przeszedł około okien — to nie naprożno. O! dwóch ludzi zatrzymało się przed domem w milczeniu. Dlaczego oni milczą? (D. c. n.)



Nowy teatr we Lwowie.

„NAPOLEON“.

Dramat Grabbego.

Dziwnych zaiste doczekaliśmy się rzeczy. Tak zwany modernizm, wdzierający się we wszystkie szpary i szparki życia literacko-artystycznego, przed dość już dawnym czasem podyktował współczesnemu dramatowi ultimatum, od którego miał zależeć dalsze jego istnienie lub zapadnięcie się w przepaść niebytu. Tymczasem dym i kurzawa, unosząca się nad polem walki „starych“ z „młodymi“ zaczyna zwolna opadać, rozgardyasz nieco ucicha, — przyschły strugi lejącego się potokiem atramentu i w myśl maksymy, „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta“, wyłaniają się z tego chaosu jakieś dziwne, napół zapomniane postacie, obejmując w posiadanie *casus belli* i kość niezgody — scenę. Po piekielnym sabacie modernizmu w Krakowie, wszedł na deski teatralne w tryumfalnym pochodzie Słowacki, i to nie uwielbiany twórca „Mazepy“, wzorujący się na pełnym efektów Wiktorze Hugo, lecz autor „Kordyana“, „Złotej Czaszki“, „Niepoprawnych“ i „Snu srebrnego Salomei“, nie ulubiony poeta najwyżej ucywilizowanych sfer naszego społeczeństwa, lecz szaleniec, zbywany przez największych nawet swoich wielbicieli pogardliwem wzruszeniem ramion. I mimo srogiego wyroku, który zapadł na „wylizane“, nie prozą pisane sztuki, okazało się, że te „dziwolągi“ i „płody chorej wyobraźni“ przepłoszyły za dziesiątą górę wszystkie „nastrojowe“ recte rozstrojone i rozstrajające bajdy modernizmu, a publiczność, odetchnąwszy raz w atmosferze prawdziwego piękna nie ma wcale zamiaru iść za nowymi prorokami w ciasne i duszne zakamarki, kędy, zdaniem różnych panów, miała się pochować poezya i sztuka.

Ale nietylko u nas zdarzają się podobne przypadki. Dość rzucić okiem po współczesnych Niemcach, aby zobaczyć rzeczy, od których modernistom włosy muszą wstać na głowie. Weźmy np. taki Wiedeń, gdzie afisze, porozlepiane na wszystkich rogach ulic, głoszą „Napoleona“ Grabbego, mimo „Madame sans Gêne“, mimo „Józefiny“ Bahra, które mogły obrzydzić zwycięscę z pod Jeny najzaciętszemu nawet wielbicielowi. Wszyscy wiemy iż postać „małego kaprala“ rozpłomienia ciągle wyobraźnię tłumów. Przyczyną tego jest, mojem zdaniem, zdegenerowanie i ogólna słabość ludzkości, która prawem kontrastu czci w ten sposób imponującą siłę niezwykłej jednostki; prócz tego, Napoleon, mimo całych lawin błota, którymi obrzucali go naprzód Niemcy, a potem właśni jego ziomkowie, wyszedł z tej powodzi kłamstwa i oszczerstw obronną ręką, a postać jego w miarę oddalenia się wzrasta i olbrzymieje. Drobne, niskie czasami rysy charakteru genialnego korsykanina nikną w oddali, a za to ogólnym konturom tej niezwykłej, jedynej w dziejach postaci przybywa ustawicznie na wypukłości i plastyce. Jako człowiek czy też nadczłowiek, burzyciel i twórca państw, konsul i cesarz — jest Napoleon własnością historyków; jako mit należy do całej ludzkości.

Niemniej przeto, mimo to, co wyżej było powiedzianem, przyczyny, dla której „Napoleon“ Grabbego znalazł się na deskach scenicznych należy szukać nie tyle w sile atrakcyjnej, jaką posiada legenda napoleońska, ile raczej w reakcyi przeciw prądowi modernizmu. Napoleona mają już ludzie chyba dosyć; Sardou, Bahr i inni postarali się oto już dawniej. Publiczność żąda dobrych dramatów, a o treść mniej się troszczy.

Czy jednak dzieło Grabbego potrafi ją pod tym właśnie względem zadowolnić? Na to pytanie muszę niestety odpowiedzieć przecząco. Autor „Napoleona“, to jeden z „Kraftgenie“, jeden z „Stürmer und Dranger“, a niezrównoważona jego indywidualność literacka odbywa podróż „vom Himmel durch die Welt zur Hölle“ w stanowczo za gwałtownych i z estetyką nie zawsze licujących skokach. Grabbego rachują do ludzi genialnych; jabym go zaliczył do, sit venia verbo, — genializujących. Brak miary, lubowanie się we wszystkiem, co oszołamia, zadziwia i oślepia, wszystko to razem wzięte usprawiedliwia przydomek „pijanego Szekspira“, którym został ochrzczony. Gdyby nie był „pijany“ mógłby rościć sobie prawo do nazwy drugiego Szekspira; tak, jest tylko Grabbem, ale i to coś warte.

„Napoleon“ wystawiony parę dni temu w *Theater an der Wien* nie obejmuje sobą całego życia zwycięscy z pod Austerlitz. Pod tym względem jest Grabbe znacznie skromniejszym od Dumasa, który wziął sobie za zadanie pokazać widzom swego bohatera, z przodu, z boku, z tyłu, konno i pieszo, jako porucznika, jenerała, konsula i cesarza. Różnicę w charakterze obu twórców najlepiej oddają tytuły ich dzieł. Dumas dał nam „trzydzieści lat z historyi francuskiej“, Grabbe tylko „sto dni“, ale mówią one więcej, do tamtych lat trzydziestu.

Treścią dramatu jest zatem ostatni błysk gwiazdy napoleońskiej, dzieje Francyi, a z nią całego świata, od wylądowania Napoleona w Tulonie do bitwy pod Waterloo. Widzimy więc naprzód lud paryski wyśmiewający Burbonów a stęskniony za Napoleonem, potem przesuwa się przed naszymi oczyma spróchniały, dziurawy, anachronistyczny majestat Ludwika XVIII, z całym aparatem etykiety dworskiej, aż wreszcie, pod koniec pierwszego aktu widzimy bohatera. W otoczeniu nieodstępnych ułanów polskich wystawa on całymi dniami na brzegu wyspy służącej mu za więzienie, patrząc na morze. Ale lew nie zniesie długo widoku krat, ścieśniających jego wolność. Jedna chwila — kilka wiadomości o tęsknocie z jaką oczekują go dawni żołnierze i Napoleon jest zdecydowany na opuszczenie

Elby. Na wiadomość o wylądowaniu „uzurpatora“ w Tulonie, powstaje między tłuszczą emigrantów, markizów, książąt i różnych pasożytów otaczających króla straszliwy popłoch, który rośnie w miarę nadchodzenia nowych wieści. Zanim się Ludwik XVIII zdołał obejrzeć, już gwardye Napoleona trzymają wartę pod Tuileriami strzegąc swego ubóstwianego wodza.

Odtąd wypadki następują po sobie z szybkością błyskawicy, a ustawiczna zmiana miejsca akcyi przenosi widzów z Paryża do obozu Prusaków, z Brukseli gdzie ucztują Anglicy z Wellingtonem na czele, do biwaków francuskiej armii, aż wreszcie na polu bitwy pod Waterloo rozstrzygają się losy Europy. Pobity Napoleon uchodzi ze słowami: „Szczęście moje może upaść — ja nie upadam“ a „granitowa kolumna“ starej gwardyi zostaje wyciętą co do nogi, zasłaniając odwrót cesarza.

Całość, pocięta na kilkanaście obrazów byłaby aż do końca trzeciego aktu mimo kilku passusów (np. w pierwszej scenie spada z okna 1-go piętra człowiek i rozbija sobie na bruku w kawałki głowę!!) wcale sceniczną. Rozczochrana „genialność“ Grabbego schowała na chwilę pazury. Swietność poszczególnych scen olśniewa poprostu widza; zwłaszcza we władaniu massami ludu jest Grabbe wprost znakomitym. Umie on każdej z licznych, przesuwających się jak w kalejdoskopie figur włożyć w usta kilka słów, które ją uplastyczniają i stawiają na pierwszym planie. Kilka grubych pociągnięć węgla i obraz gotów. Cała tęsknota za Napoleonem wespół z nienawiścią do Burbonów, odzwierciedla się w tych pewną ręką szkicowanych scenach ludowych.

Nie mniej świetnem jest przedstawienie dworu królewskiego. Odraza przed wszystkiem, coby mogło tym świeżo instalowanym dworakom przypomnieć cesarza, znalazła w ich rozmowach znakomite odzwierciedlenie. Jeden jedyny człowiek na całym dworze nie dzielił powszechnego wstrętu do osoby i dzieł Napoleona; tym jednym był sam król. Ludwik XVIII podziwiał w cichości wielkiego bohatera; próżniak korzył się przed człowiekiem czynu, leniwiec nie mógł wyjść z podziwu na widok lwa. To usposobienie króla było przyczyną częstych sporów pomiędzy nim, a ks. Artois, bratem królewskim. Podczas jednej z nich, Ludwik XVIII oburzony do żywego napaściami na byłego cesarza, zagroził bratu, że jeśli nie zaprzestanie wymysłów, to on, Ludwik postawi na kominku biust Napoleona!

Słowem wszystko idzie składnie, aż do pierwszej bitwy. Zapach prochu i huk armat musiał zapewne oddziaływać na bujną wyobraźnię Grabbego nader podniecająco, gdyż od pierwszego niemal strzału zaczyna się iście piekielny rozgardyasz i chaos, w którym ginie nietylko massa ludzi, lecz nadto sens i zdrowy rozsądek. „Genialność“ jednem pchnięciem małego palca obala w proch wszelkie prawa sceny i logiki. Na rozkaz wszechpotężnego dramaturga całe pułki, dywizye, armie przechodzą przez scenę, biją się i giną; kule armatnie w przelocie urywają głowy żołnierzom, szwadrony kawaleryi wykonują ataki, a z tysiąca paszcz ognistych grzmi historya powszechna!

Rzecz naturalna, iż te wszystkie okropności muszą dla fizycznego niepodobieństwa odpaść zupełnie przy „poskramianiu“ Napoleona na scenę. A szkoda, bo najlepszą część dzieła Grabbego stanowią właśnie te piekielne harce; cała posiadana przezeń umiejętność ożywiania i indywidualizowania stugłowego tłumu, wychodzi tu na pierwszy plan. Pojedyncze sylwetki żołnierskie, jak Chassecoeur, Vitry, ochotnik berliński, żyd - żołnierz, są rysowane z prawdziwym artyzmem.

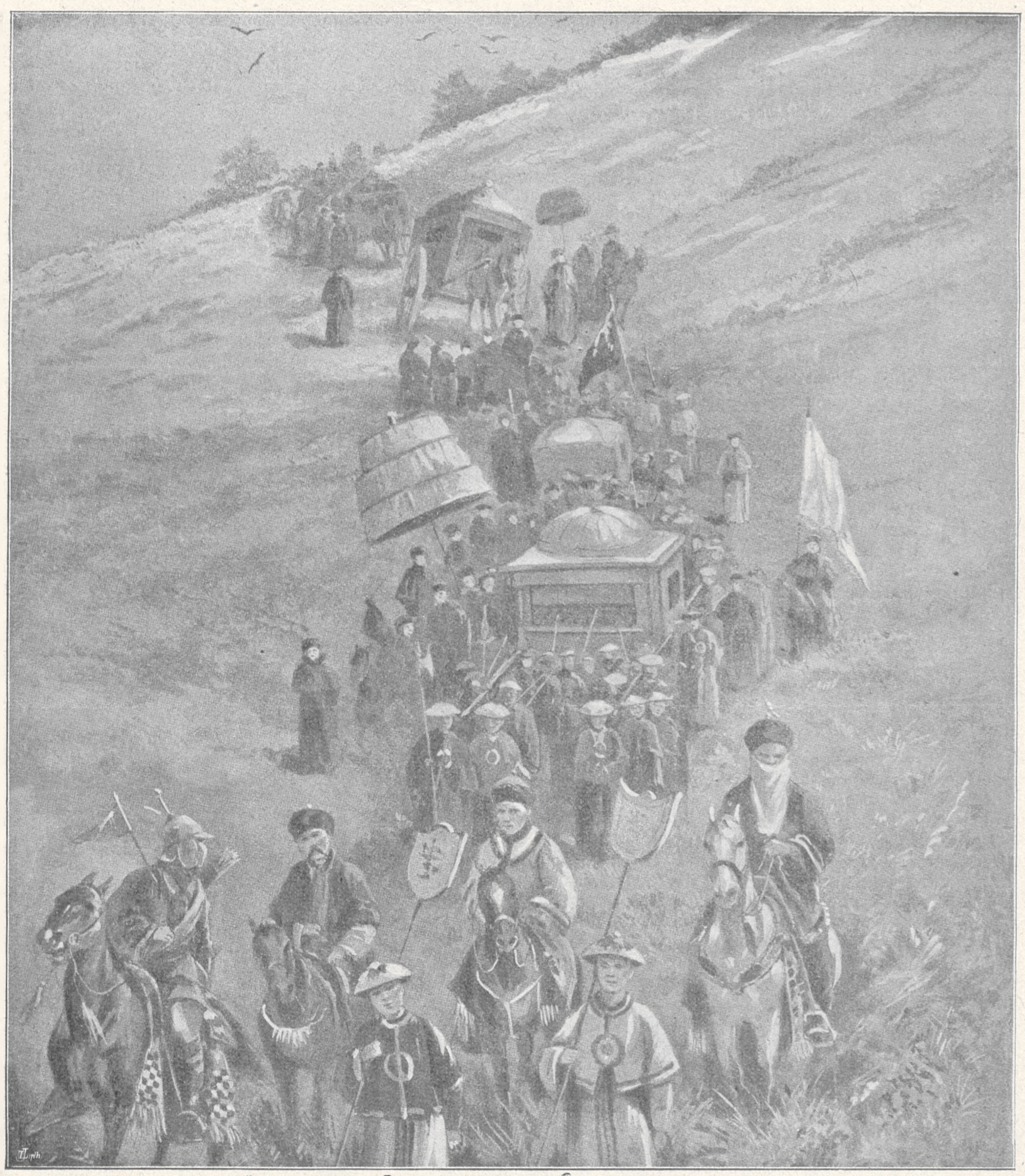
Summa summarum, wrażenie, odniesione przez widza ze sztuk Grabbego jest znacznie mniejsze od tych, które targają nerwami czytelnika. Mimo pozorny sceniczności, „Napoleon“ jest dramatem książkowym, a huk dział towarzyszący gromom losu, co spadają na głowę „małego kaprala“ brzmi w fantazyi czytelnika daleko lepiej, niż na scenie. Z grozą przejmującej rzeczywistości robi się szopka, a sto armat wycelowanych na wojska sprzymierzone nie przynosząc szkód nieprzyjacielowi, burzy warownię dobrego smaku wraz z mostkiem dzielącym wzniosłość od śmieszności.

To też kto chce poznać naprawdę rodzaj talentu Grabbego - niech unika teatrów wystawiających jego dramaty. Prąd reakcyjny, który wyniósł na brzeg szczątki „Napoleona“ pływające w oceanie zapomnienia, nie wyrządził tem sferom interesowanym, tj. publiczności, żadnej przysługi.

Część winy spada także i na nieudolne obrobienie sceniczne, którego podjął się niejaki pan O. G. Flüggen. Możeby ręka samego autora zdołała wyciosać z tej, bądź co bądź potężnej, ale nieforemnej bryły jakiś kształt artystyczny. Żałować należy, iż tak się nie stało. Wystawienie „Napoleona“ jest i pozostanie ze względu na to, co u wstępu wypowiedziałem, rzeczą bardzo charakterystyczną; rodzaj dzieła kwalifikuje je wprost do rzędu osobliwości. Ale nie wszystko co charakterystyczne i osobliwe, musi być koniecznie pięknem.

Tego zaś nam jedynie i najbardziej potrzeba.

G.



Ucieczka cesarzowej chińskiej.

„Pisanka“

książka zbiorowa pod redakcyą Józefa Jankowskiego. Warszawa 1900.

Czy powyższy tytuł wkracza w dziedzinę jajek wielkanocnych, czy też dla wytłomaczenia go należy sięgnąć do słowa: „pisać“? W każdym razie dzięki jemu już tytułowa stronica zaciekawia słuchacza; szkoda, że następne tego wcale nie czynią.

Najprzeciętniejsza przeciętność spogląda na nas z każdego niemal wiersza. Od czasu do czasu błysną fałdy sztucznie ułożonej togi wieszczej lub chłopskiej siermięgi, od czasu do czasu zabłyśnie jakiś dobrze znany refleks, zadźwięczy ton, osłuchany od wieków — a po za tem — pustka. Przepraszam, są jeszcze fotografie, a jakże, bardzo piękne fotografie różnych dobrze uczesanych panów, oraz kilka, mówiąc językiem malarzy, „knotów“ czyli rysunków.

I to wszystko razem, zwie się „Pisanką“.

Zanim określę przypuszczalny cel wydania tej antologii zwiędłych kwiatków, ośmielam się zwrócić uwagę czytelnika na to, iż wszyscy (z wyjątkiem jednego) poeci i prozaicy zapełniający strony „Pisanki“ swoimi wierszami, nosami i wąsami, są uszykowani w alfabetycznym porządku. A więc naprzód idą kopiści, których liche aparaciki fotograficzne wykrzywiają do niepoznania kształty oryginału: Chmurkowski, imitujący w „Zegarze“ „Śmierć“ Dąbrowskiego, Daniłowski zapatrzony jednem okiem w autora „Kordyana“, drugiem w Niemojewskiego, a stąd mocno zezowaty jako poeta, Łaszczyński, rozmiłowany w stylu i języku tłomaczonych librettów operowych, z kiepska namiętny Nawrocki, nudny gaduła Nowiński (autor nieszczęsnej „Białej gołąbki“) i bezimienny na szczęście prozaik, który umiejętnie zespolił w sobie najgorsze cechy twórczości Gawalewicza i Choińskiego („Powrócił“) i sztucznie patetyczny Słoński i tylu tylu innych przeżuwaczy.

Nie chcę tem słowem ubliżać człowieczeństwu wymienionych autorów, lecz idzie mi jedynie o charakter ich twórczości. Główną jego cechą jest zupełny brak oryginalnych pomysłów. Mózgi tych panów, to popsute wałki fonograficzne; każdy zasłyszany dźwięk, każde gdzieś złapane zdanie zostaje wykoszlawione i przekręcone, a młynek ich twórczości przemiela zdrowe tu i owdzie pochwytane ziarnka, na szarą, bez smaku i zapachu plewę. Ależ na wszystkie bogi, piszcie sobie panowie o czem chcecie, choćby „tysiąc wierszy o sadzeniu grochu“ byle to było ładne, dobre i smacznie podane, byle mogło zasłużyć na nazwę dzieła sztuki; inaczej, nudne bajdy w guście „Pisanki“ będą tylko jednym więcej, i to słusznym, pretekstem do odsądzenia Warszawy i zamieszkałych w niej pisarzy od artystycznej czci i wiary. Nie mam wcale zamiaru kruszenia kopii w obronie Syreniego grodu; przyznaję, bo przyznać muszę, iż stosunki polityczne na równi z ekonomicznymi ciężą kamieniem młyńskim na piersi warszawskiego piśmiennictwa, ale gdybym chciał je sądzić z podanych w „Pisance“ próbek, to rzeczywiście musiałbym dojść do nader smutnych rezultatów.

Na szczęście z całej książki widnieje jasno, iż celem jej było nie danie obrazu warszawskiej literatury, lecz utworzenie sztafażu dla jednej, zdaniem *swojem*, wybitnej postaci. Po całym szeregu wieszczów i wieszczek ulokowanym w iście rozczulającej zgodzie i alfabetycznym porządku, zjawia się na samym końcu książki — Mesyasz, On, przez którego i dla którego powstał ten zbiór wybrakowanych wierszydeł i wyświeconych na łokciach myśli, pomadkowy olbrzymek, słowem, pan Józef Jankowski.

Już samo wysunięcie się po za ramy alfabetu, świadczy o dumnej wyższości, która mu pierś rozsadza! Natchnione oczy i obfite kędziory uwydatnione na fotografii dopełniają reszty. Nikt po ujrzeniu choćby raz tego wizerunku, nie może się omylić co do tego, iż ma przed sobą — wieszcza. A cóż dopiero gdy zdumione oko spocznie na filozoficzno - napuszonym wierszu p. t. „Poeta“. Jakaż iście *bezdenna* głębia otwiera się przed czytelnikiem! Tyle filozofów męczyło się nad rozwiązaniem zagadki bytu — pan Jankowski skinął palcem i została rozwiązaną.

Bo po to-m jest, bym nieba
W jaśnieniu i pokorze,
Jak powszedniego chleba,
Kęs w życia szlaki wdrożył (!)
Bym rzeczy tam (gdzie?) odczute,
Na ziemską przelał nutę
I światła tem przysporzył,
Na to królestwo Boże,
Przez Chrystusową ranę,
Na świat zapowiedziane.
Bo po to-m jest, bym stworzył
Anielski spadkobierca (?)
I tchnieniem mem dostatniem (!!)
Zwaśnione tak rozlicznie, (!)
Mych braci błędne serca,
W uczuciu łączył bratniem.
Ewangelicznie...

I tak plecie ten biedny człowiek przez trzy długie strony, pracując „z anielska najmozolniej (!!)“ nad znudzeniem całego świata. Po przeczytaniu tego „credo“ którego przez szacunek dla czytelników nie śmiem w całości przytoczyć, rozumie się dopiero, dlaczego w tem muzeum miernoty nie znaleźli pomieszczenia tacy pisarze jak Żeromski, Sieroszewski, Dąbrowski i Reymont, dlaczego gromowładny Andrzej Niemojewski występuje w charakterze karmelkowego piewcy, z trzema wierszykami, najsłabszymi może ze wszystkich swych utworów, a Or-Ot, zamiast nucić swoje misterne, pełne uczucia i poezyi staromiejskie obrazki, czyni banalno-liryczne wynurzenia. Przecież w takim razie lampka pana Jankowskiego musiała by mocno zblednąć; kto wie, możeby nawet -(o zgrozo!) przeszły bez wrażenia takie wzniosłe i cudne zwroty jak „świetlaność ideału podniebiańskiego działu, niedoścignioność wzoru tęsknego wciąż przestworu (!!)“ i t. p. wytwory natchnień pomadkowego wieszczątka.

Te kwiatki blagi poetyckiej mógłbym zresztą przebaczyć panu Jankowskiemu gdyby nie to, iż stanowią ogon literackiego tasiemca pt. „Pisanka“ a przyczyny jego powstania w nich właśnie, jak już wyżej zaznaczyłem, należy poszukiwać.

Nasuwające się teraz pytanie, *cui bono* otrzymaliśmy to silnie nieświeże jajko wielkanocne, zostaje tem samem rozstrzygnięte.

Wł. Ł.

Mandżurya i jej mieszkańcy.

Jeżeli podróżny zacznie badać Mandżuryę, lecz nie w jej miastach, gdzie życie wciśnięte jest w pewne ramki, a więc niema prostoty naturalnej, lecz zagłębi się w stepach, to uderzony będzie wspaniałością widoku, jaki się przedstawi jego oczom. Dokoła stepy; milczące, bezgraniczne i bezludne stepy! Mieszkaniec miasta porzucił naturę, uciekł od niej daleko i natura już przestała przemawiać do jego serca, lecz ten, kto nawykł do czytania w księdze przyrody i podziwiania jej różnorodnego piękna, ten z zachwytem i lubością ocknie się w tym stepie i znajdzie wokół siebie dużo przedmiotów do zbadania.

Piękna roślinność, posiadająca wszystkie okazy flory Chin północnych i kraju Nadamurskiego. Wysoka trawa, dosięgająca w niektórych miejscach takiej wysokości, że w niej schować się może jeździec z koniem, jaskrawe wielkie kwiaty koloru pomarańczowego, delikatne dzwoneczki lazurowo-niebieskie i mnóstwo innych roślin i traw wszelkich możliwych kolorów i odcieni, układają bogaty kolorami dywan, jakiedoby najbujniejsza fantazya nie zdołała wynaleźć nawet w bajkach Szecherezady. Tu znajdziecie i astry, i niezapominajki, i fiołki wonne aromatycznie, rododendrony, irysy i nogietki. Powietrze przepełnione jest wonią balsamiczną, nęcącą tysiącem różnych zapachów. Są one tak rożnorodne, że aby je tylko tu wyliczyć, potrzebaby było przepisać cały szereg nazw kwiatów, począwszy od obficie rosnącego maku alpejskiego, aż do wstydliwej i dziewiczo strojnej, delikatnej, białej wiatrówki leśnej. A wokół tę trawę okala wysoka „uła“ i kiwając swemi kiściami, hardo spogląda z wysokości na rozpostarty pod jej stopami dywan. On stanowi piękność, a ona jest symbolem pożytku, bo idzie na podściółkę do obuwia, które w ten sposób nabywa miękkości i elastyczności.

Dalej natura zmienia się, roślinność staje się coraz więcej jednaką; za rzekami: Sungari, Lao-Che i Nonni znajdujemy już gołe wydmy piaszczyste, a za niemi groźne urwiska, przypominające Szwajcaryę i Kaukaz. Na pochyłościach ich rosną gęste zarośla orzeszyny, dosięgające tu rozmiarów niezwykłych i ciągnące się czasem na kilka wiorst. Dalej idą krzaki berberysu, grusz dzikich, jabłoni, brzoskwiń, jeszcze wyżej spotykamy sosny, modrzewie, buczynę, kalinę, klony, a wokół nich wijące się, jakby szukające obrony przed burzami i huraganami, dzikie winorośla, dochodzące czasem do zupełnego rozkwitu i dojrzałości. Dalej ciągną się nieprzejrzane lasy topoli, cedrów, jesionów, wisien, śliwin i dzikich jaśminów, roztaczających wokół swój ostry i odurzający zapach. Lecz nie zawsze można spokojnie używać zapachu kwiatów i lubować się pięknością ogromnych róż; spotykamy w Mandżuryi, jako i wszędzie, wiele krzaków kolących, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje piękne z wejrzenia „drzewo czartowskie“.

Więcej południowe stoki pokryte są drzewem aksamitnem, korkowem i żelaznem, z którego wyrabiają sprzęty domowe i meble.

Step ten i lasy są doskonałym przytułkiem dla tygrysów, panter i lampartów, w jednej chwili rzucających się na podróżnego, który choćby na sekundę zapomniał mieć się na baczności. Świtę tych miłych mieszkańców stanowią: dzikie świnie, niedźwiedzie bure i czarne, wilki, lisy, borsuki i pewien rodzaj, wyłącznie w Mandżuryi zamieszkałych małp. Lecz liczba tych władców pustyń poczyna się zmniejszać, coraz dalej i dalej odstępują i kryją się coraz głębiej, pod naporem ludzkich siedzib.

Walka o byt i pragnienia zdobycia bogactw robią swoje i przemysł bezlitośnie niszczy, uciska, tępi i zgładza z oblicza ziemi całą piękność natury dziewiczej dla swych celów materyalnych.

Obecnie już większa część łąk poddana kulturze i zamiast rododendronów i irysów, wśród pięknie obrobionych pól rośnie haolan (rodzaj pszenicy) i syn-ma (konopie chińskie). Dalej plantacye tytoniu, słynące daleko po za granicami Mandżuryi, groch, z którego wyrabia się olej, a wytłoczyny używane są dla bydła na pokarm, proso i wiele gatunków groszku, z którego chińczycy wyrabiają wermiszel Pośledni gatunek idzie na wyrób biszkoptów, rozpuszczanych w wodzie do picia, w celu odjęcia jej niemiłego zapachu. Prócz tego uprawiany tu jest jeszcze sezam, z którego wyrabia się olej dze-madze do wyrobu świec i wreszcie tatarka, kukurydza, wszystkie gatunki owoców, bawełna, ryż i mak.

Kultura maku znajduje się niemal wyłącznie w rękach kobiet i pod ich opieką. Wszędzie tu znać pracę znojną. Bez względu na palące promienie słońca południodniowego, chińczycy w swych kapelusikach, podobnych do grzybków, kobiety i dzieci, nie zakładając rąk, całe dnie pracują w polu, pozwalając sobie zaledwie na chwilę czasem spocząć. W powietrzu unoszą się miliardy owadów, nieznośnych dla podróżnego. Z nich panta jest najdokuczliwsza; przeciska się przez ubranie i tnie ciało, a od niej ochronić się najtrudniej, bo nawet w nocy nie daje spokoju. Zaledwie jedne pójdą na spoczynek, wstają już inne owady i znowu dokuczają, dając przedsmak piekła dantejskiego.

Jak gatunki zwierząt, tak również różnorodną jest tu ludność Rzeczywiście nietylko w miastach i we wsiach, szczególnie w porze handlowej, lub jarmarku, panuje tu istna wieża Babel odzieży, osób, plemion, narzeczy i kast.

Tu spotykamy i botogonów w ich czapkach futrzanych z nausznicami i daurów ze spiczastą bródką w białych okryciach i manirów w długich aż za kolana chałatach, przepasanych splecionym z pasków rzemiennych i włosia końskiego pasem ze sprzączką metalową i różnego rodzaju, stosownie do zamożności, ozdobami.

Oronczanie w skórach zwierzęcych szyderczo rozprawiają z czyuczotami i ołottami o wyższości życia koczującego nad osiadłem, rolniczem. Oddzielnie stoją mandżurowie i goldy, obdarzeni już prawami cywilnemi i urządzeniami i z wysoka spoglądają na plemiona koczujące. Czasem napotkać można cały szereg idących jak karawana gęsi, jeden za drugim, wspaniałych swym pogardliwym spokojem w białych szatach korejczyków, przypominających starożytnych mędrców biblijnych.

Wszystkie te narody stoją na różnych stopniach kultury i różnią się pomiędzy sobą tak językiem, jak i zwyczajami i zajęciem. Manegrzy, oronczanie, botogonie i soloni — wszyscy szamaniści, lecz podczas gdy u manegrów szamanami są kobiety, u pozostałych ten rodzaj zajęcia należy wyłącznie do mężczyzn. Najsympatyczniejszem plemieniem są oronczanie. W pośród nich panuje słowiańska gościnność, troska o ubogich i chorych zalicza się u nich do największych obowiązków każdego, o kradzieżach nikt u nich nie słyszy, jak również i o zabójstwie, przyczem złodzieje piętnowani są ogólną wzgardą. Z żalem jednak wyznać należy, że już zaczynają i oni wpadać w kabałę, idąc w ślad za kulturalniejszymi daurami, wskutek czego ta patryarchalna czystość obyczajów pod naciskiem owych oświeceńszych sąsiadów niknie.

Inżynierom rosyjskim, przybyłym do tego pierwotnego kraju, w początkach było bardzo ciężko, z powodu właśnie tak rozlicznej różnoplemiennej ludności. Nieznajomość ich obyczajów i brak tłomaczy spowodowały, że w początkach popełniano wiele niewłaściwości i błędów, wskutek których w ludności miejscowej zrodził się do przybyszów antagonizm. Najcharakterystyczniejsza zdarzyła się historya z inżynierem Cywińskim: dokonywał obrachunków przez antreprenera, który niejednokrotnie wyzyskiwał robotników, tłomacząc się, że od inżyniera otrzymuje za mało pieniędzy. Dały się słyszeć głosy: „kapitan jest oszustem“ a nawet dokonali zamachu na życie zupełnie niewinnego inżyniera, przyczem tenże został rannym. Zaledwie śledztwo zdołało wykryć wszystko i poprawić stosunki.

Drugiem złem była nieznajomość miejscowości i brak zupełny jakichkolwiek map i planów. Ludność początkowo ze zdziwieniem oglądała najrozmaitsze przybory do triangulacyi, lecz wkrótce szamani zaczęli rozpuszczać wieści, że przybysze kładą na ziemię łańcuchy, na znak tego, że odtąd ziemia będzie ich niewolnikiem, że ją posiedli dla celów nieznanych, a ziemia ta jakoby rozgniewała się na takie grubijańskie z nią postępowanie i przestanie zupełnie rodzić zboże i owoce. Jednocześnie z Pekinu zaczęły napływać wiadomości, że przybysze pragną zawładnąć Mandżuryą i wytępić w niej element miejscowy. Rozumie się, że gdyby język krajowy znany był przybyszom rosyjskim, to z łatwością możnaby było obalić i dowieść całego bezsensu tych wieści, lecz wzajemne niezrozumienie się doprowadziło do tego, że ludność przy zbliżaniu się partyi inżynierów do wsi, uciekała, kryła się w lasach, chowała prowianty i żadnemi dowodami nie można było dojść do porozumienia, ani wyjaśnić rzeczywistego stanu rzeczy.

Nie lepiej było i z kwestyą mieszkaniową. Wypadało podczas jesiennej niepogody lub chłodnej pory zimowej, podczas zamieci śnieżnych, tulić się w szałasach wilgotnych, na prędce wykopanych jurtach ziemnych, podobnych raczej do piwnic, niż do mieszkań ludzkich, ale wytrwałość inżynierów rosyjskich nie uległa w tej walce z ludźmi i żywiołami. Mimo przeszkód zdołali w niedługim czasie dokonać poruczonego im obowiązku, przygotowując w ten sposób grunt pod niedawno dokonaną aneksyę Mandżuryi przez Rosyę.

Jenerał japoński Yamagata.



Marszałek Yamagata, którego podobiznę podajemy, jest jednym z tych wybitnych umysłów, którym Japonia zawdzięcza swoją wysoką współczesną kulturę. Yamagata zrobił karyerę w służbie wojskowej, gdyż za rozmaite zasługi położone w ostatniej wojnie z cesarstwem chińskim, zdobył sobie szlify feldmarszałka. Ostatnio bawił w Europie podczas uroczystości koronacyjnej cara Mikołaja w Moskwie, dokąd wydelegowano go jako przedstawiciela Mikada.

„LOUISE“

opera Charpentier'a.

Paryż, 9 października.

W poprzednim liście mówiłem Wam o dramatycznem „clou“ wystawy, o japońskiej Duse, Sadzie Yacco; dziś kolej na drugi „gwóźdź“ w postaci „Louisy“, podziwianej przez Paryżan, a tłumnie odwiedzanej przez ludzi, przybyłych na tegoroczne *rendez-vous* wszechświata, wystawę paryską.

Jak wiecie, lubię Montmartre, to przedmieście pełne oryginalnego życia, tętniące odgłosami młodości i temperamentu, który sypie iskrami piosenek lub bucha płomieniem namiętnych „romance'ów“. Lubię jego gwar, niepohamowaną wesołość, jedyne echo „Cyganeryi“ Murgera we współczesnym Paryżu, tak jak i ta „Cyganerya“ droższą mi jest nad setki psychologiczno-wiwisekcyjnych romansideł, prześladujących nas na każdym niemal kroku. Być może, że brak mi zmysłu oryentacyjnego do wybrnięcia z tych labiryntów psycholo- i patologii; przyznaję to, gotów jestem nawet się zawstydzić, jeżeli zajdzie potrzeba, ale zdania nie zmienię. Chybaby....



Viscount Wolseley
dotychczasowy generalissimus angielski poprzednik lorda Robertsa.

Lecz to do rzeczy wcale nie należy. Jeżeli mówiłem na początku o Montmartre, to dlatego, że dzieje „Louisy“ (naturalnie szwaczki) i jej kochanka (nowoczesnego artysty cygana) rozgrywają się na tem właśnie przedmieściu. Atmosfera zbliżona zatem nieco do „Cyganeryi“ Pucciniego, ale jakaś milsza, szlachetniejsza, jeżeli już nie etycznie, to przynajmniej pod względem muzykalnym. Wprawdzie chaotyczność muzyki Charpentiera może śmiało porównać się z tymsamym przymiotem (?) u Pucciniego, ale francuskie *esprit* i pewna doza rafineryi wyciska na „Louisie“ piętno wcale, wcale gustownego artyzmu, co się niestety o gruboskórnym i wrzaskliwym efekciarzu Puccinim nie da powiedzieć.

Jak wiadomo, „Cyganerya“ zrobiła w Paryżu niesłychane fiasco; powodzenie „Louisy“, zbliżonej do utworu Pucciniego fabułą i niektórymi cechami muzyki musi wywołać zapytanie, w czem spoczywa tajemnica jego sukcesu?

Opowiedź bardzo łatwa. Fabuła francuska, równie jak niemiecka, włoska, rosyjska lub hiszpańska, illustrowana muzycznie przez Włocha, choćby nawet tak zwagneryzowanego jak Puccini — da zawsze narodową operę włoską. Cóż więc w tem dziwnego, że legendowi już dzisiaj bohaterowie Murgera, którzy u Pucciniego przemawiają nowowłoskim „wybuchowym“ językiem tonów, bez stylowej gracyi właściwej ich epoce, odarci z humoru, a pływający naprzemian po bezbrzeżnym oceanie sentymentalizmu i wzburzonych falach iście włoskiej „passione“ — zostali odepchnięci przez wykwintną publiczność paryską.

Charpentier jest zawsze i wszędzie francuzem, to też jego figury drgają iście paryską, niefałszowaną werwą, a okrzyki przekupniów ulicznych, spożytkowane w charakterze motywów, nadają operze dużo lokalnego kolorytu. Kto wie czy nie im właśnie zawdzięcza autor „Louisy“ przydomek „narodowego“ kompozytora, choć, prawdę mówiąc, ta jego „narodowość“ jest wielce problematycznej natury i ma się tak do rzeczywistej, jak okrzyki *camelot'a* roznoszącego *Aurore* do pieśni ludowej bretońskiej lub prowansalskiej. Prędzej już możnaby się zgodzić na to, że Charpentier jest muzykiem paryskim; bajka jego dzieła daje mu słuszne do tego nazwy prawo, a styl paryski w muzyce czeka dopiero na swego twórcę, więc on może stać się pierwszym jego pionierem.

Jeżeli wszakże przyjmiemy powyższą hipotezę za punkt wyjścia, to przyszłość „muzyki paryskiej“ w nader czarnych nam się przedstawi kolorach.

Kompozytorowie francuscy nie zdradzali dotąd śladów zarażenia muzyczną astmą, która panuje nagminnie między młodszem pokoleniem niemieckich i włoskich muzyków. Mimo skłonności do patosu i groteskowych efektów z jednej, a rafinowanego sprytu z drugiej strony, zachowała dotąd francuska sztuka tonów pewną szlachetność melodyi, nadającej jej cechę „mowy wiązanej“, cechę wiersza i to dość nawet poetycznego. „Paryski“ Charpentier zaczyna przemawiać prozą, a to zarówno w tekście jak i w muzyce. Niektóre ustępy „Louisy“, jak n. p. uroczystość artystyczno-cygańska są poprostu chaosem nieartykułowanych szmerów i dźwięków, ujętych w więzy rytmu. Motywy, oprócz już wspomnianych *cris de Paris*, są przeważnie zaczerpnięte z Wagnera, a dobór ich świadczy o sumiennych studyach nad „Meistersingerami“ i „Tristanem“.

Z tych, które prawdopodobnie zrodziły się w mózgu Charpentiera, wyróżnić należy „motyw miłości“. Charakterystyczną cechą tej arabeski melodyjnej jest to, iż wzniósłszy się w gorę po drabince kwartsekstowego trójdźwięku w C-dur, zarzymuje się w powrocie na zmniejszonej tercyi. Nie brak temu zwrotowi pikanteryi, rozsypanej zresztą hojnie po całej partyturze. Gdyby alteracye i dyssonanse można porównać z pieprzem i papryką, to pod potrawką przyrządzoną rękami Charpentiera mógłby się podpisać najbardziej ultra-węgierski kucharz. Paryżanie chwalą sobie takie jadło, niemniej jednak, podobnem już nie powiem unarodowieniem, ale już wprost lokalizowaniem muzyki, odejmuje się jej wszelką wartość oprócz brukowej. Charpentier, jak zresztą wszyscy młodzi mistrze obecnej doby, posiada niesłychanie wyrobioną technikę kompozycyjną; zwłaszcza w stosowaniu efektów instrumentacyi, może mierzyć się z każdym. Zobaczymy, czy te bezsprzecznie duże zapasy wiedzy i talentu wystarczą mu w drodze po sławę dalej, jak do paryskich rogatek. Jedno jest tylko pewnem tj., że berlińskie fiasco „Louisy“, powtórzyć się musi w każdem mieście po za Paryżem. Po Charpentierze i jego talencie i dalszych utworach może się świat muzyczny wiele spodziewać; on sam po „Louisie“ — niczego.

Z.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa w miniaturowem wydaniu, ukazała się powieść Artura Gruszeckiego p. t. *Nowy obywatel,* przyozdobiona kilku wybornymi rysunkami Konstantego Górskiego. Autor w powieści tej dał nam nowy w naszej literaturze typ, choć dziś w życiu dość pospolity, w osobie Tadeusza Szyszkowskiego, który, wychowany na Syberyi, przybywa do kraju, kupuje majątek, żeni się, ale wskutek warunków w jakich wyrósł, swej szerokiej natury, traci wszystko i idzie szukać nowego losu na Kaukazie. Sylwetka ta, lekko szkicowana, jest pełną prawdy i ciekawą bardzo, choćby z tego względu, że pochwycona z natury.

* W bibliotece Zamoyskich w Kurniku odnalazł bibliotekarz tamtejszy, dr. Z. Celichowski, nieznany utwór Mikołaja Reja, p. t. „Kupiec, to jest kształt a podobieństwo sądu Bożego ostatecznego“, wydany w Królewcu w r. 1549 przez głośnego w dziejach reformacyi w Polsce Jana Seklucyana. Niestety, jest to tylko część całości, jak się po zbadaniu utworu okazało.

* Paweł Bourget coraz bardziej zwraca się ku chrześcijańskim zasadom. W przedmowie do nowego przejrzanego wydania, zawierającego: „Cruelle Enigme“, „Crime d' Amour“ i „André Cornélis“, autor wyłuszcza, że pierwszą zasadą moralności jest prawda i że starał się, aby, prawda, przedstawiona w jego utworach, nie stała nigdy w sprzeczności z religią.

* Michał Bałucki napisał 4-aktową komedję, p. t. „Blagierzy“, którą przeznaczył dla teatru lwowskiego.

* Surowe oskarżenie przeciw krytyce literackiej we Francyi podnosi p. Kamil Mauclair w ostatnim zeszycie *Nouvelle Revue*. Właściwie, zdaniem p. Mauclair'a zaledwie już może być o niej mówa; w większej części miejsce jej zajęła płatna reklama, zwłaszcza w prasie codziennej; z wyjątkiem *Temps'a* i *Journal des Débats* żaden dziennik paryski nie zamieszcza poważnej oceny książek; *Journal* załatwia się od czasu do czasu w 500-tu wierszach z 20-tu książkami, bez wyboru, a *Figaro* również ogranicza się kilkuwierszowemi notatkami. Niewiele lepiej stoi ta sprawa w miesięcznikach literackich, które przeważnie poświęcają dwie strony okładkowe notatkom bibliograficznym. Ostry sąd wydaje też p. Mauclair o najbardziej znanych krytykach, jak: Brunetière, Lemaître, Deschamps, Doumic i Faguet. O Brunetierze, którego zdanie jest dla pewnych kół wyrocznią, powiada Mauclair, że to dogmatyk, kategoryzujący utwory literackie według różnych własnych praw estetycznych i moralnych, i wciskający wszystko w Prokrustowe łoże swego systemu. Jest sumienny i uczciwy i przejęty powagą swego urzędu; mniej więcej jak profesorowie w akademii malarstwa. Ale podobnie jak ci nie zaszkodzili rozwojowi sztuki wolnej i indywidualnej, tak też Brunetiere nie powstrzyma ruchu literackiego. Epoka wiary w powagi i sekciarzy minęła; śród publiczności również coraz mniej licznych mają sprzymierzeńców. Ale, obdarzeni zmysłem krytycznym literaci powinni tembardziej pamiętać o swojem istotnem zadaniu, — wskazaniu drogi opinii publicznej, — i idąc w ślady takich dobrych wzorów jak: Taine, Emerson, Carlyle, Lessing, Mallarmé, stworzyć nową krytykę literacką we Francyi.

* J. K. Kochanowski: Witold, wielki książę litewski. Lwów 1900, in 8vo, 207. O Witoldzie oddawna i wiele u nas pisano; nie mało też wydano poważnych materyałów, do jego panowania i osoby się ściągających; mamy także i takie dzieła, w których wyjaśnione zostały genealogiczne szczegóły w kwestyi książąt litewskich, a Gedyminowiczów najbardziej. Wszystko to jest znane i zużytkowane przez p. Kochanowskiego w wyżej wymienionej jego pracy, którą możnaby nazwać ostatniem nauki słowem, co się księcia Witolda i jego historycznej działalności tyczy. Po krótkim wstępie, 1—21, gdzie autor skrzętnie zebrał o Litwie i o czasach przed Witoldem wszelkie potrzebne wiadomości i należycie je oświetlił, następują cztery rozdziały, zamykające w sobie dzieje Witolda. I, 21—43, poświęcony młodości tego bohatera litewskiego, zawodom jego w nadziejach i śmierci ojca. II, 43—82, bardziej urozmaicony: związki z zakonem, chrzest, podrzędna rola na Litwie, rok 1386, Witold na Wołyniu, walka z Jagiełłą, zwycięstwo, wielko-książęce dostojeństwo. III, 83—140, zawiera: rządy Witolda na stolcu książęcym, układ saliński, klęska nad Worsklą, unia wileńska, traktat raciąski, wyprawy ruskie, bitwa nakoniec pod Grunwaldem. IV, 140—207, opisuje pokój toruński, unię holenderską (tu prace znakomitego Piekosińskiego nie zostały uwzględnione!), działalność na Litwie, związki z Czechami, zwrot w polityce, zabiegi o koronę (gdzie wykazane są separatystyczne Witolda dążności), i zgon. Studyum to czyta się z przyjemnością: styl gładki, obrazowy, przedstawienie tematu w sposób równie zajmujący jak ścisły.

* Nakładem księgarni Appleton i S-ka w Nowym-Jorku ukazała się „Historya Literatury Rosyjskiej“ K. Waliszewskiego.

* W lipcowym zeszycie *Literatury News* znajdujemy portret Sienkiewicza i J. Curtin'a; drugi tom „Krzyżaków“ w przekładzie J. Curtin'a ukazał się nakładem *Little Brown and C. Boston.*

* Wybornem dziełem o Chopinie jest świeżo wydana książka *„Chopin the man and his Music“* przez James'a Huneker'a Sribnor'a; pisze on: „Jest analogia pomiędzy Poë'm, Verlain'm, Shelley'em, Keats'em, Heine'm i Mickiewiczem, którzy są filarami poezyi, jak Chopin muzyki, ale Chopin jest niezrównany, Chopin jest tylko jeden“.

* Kilka angielskich pism codziennych często wsponina o Sienkiewiczu, pomiędzy innemi, że Sienkiewicz niedawno się ożenił, i że swój miodowy miesiąc spędza w Anglii. (!!) *The Morning Wender* z d. 25. z. m. podaje do wiadomości publiczności angielskiej, że „wielki powieściopisarz polski obchodzić będzie 25-letni jubileusz pracy autorskiej. Uroczystość jubileuszowa odbędzie się w Warszawie, dokładna data obchodu zostanie wyznaczona po powrocie Sienkiewicza z Normandyi. Twórcy „Ogniem i Mieczem“ nabyto ze składek majątek ziemski i akt donacyjny wraz z adresem będzie wręczony w sali ratusza“.

* *Chicago post* zamieszcza obszerne sprawozdanie o ostatniej powieści Sienkiewicza: „Być może, że nikt w sposów szczęśliwszy nie dotknął historycznej atmosfery, niż autor polski w swej powieści z wieku XIV, opisując polityczno-religijne walki Słowian z Niemcami. Krew, okrucieństwo tryskają wszędzie z książki z niepohamowaną siłą. Opis bitwy pod Grunwaldem to nie miniatura, lecz wspaniały obraz swego rodzaju, uderzający, przejmujący i efektowny!“

* Wielkiem powodzeniem cieszy się w Anglii panna Rodziewiczówna, której powieść „Anima Vilis“ w przekładzie hr. Soisson, ukazała się już w drugiem wydaniu, nakładem londyńskiej firmy Jarrold an Son. *The Review of the Week* mówi o tej powieści: „Możemy powinszować panu de Soisson, że wynalazł nową autorkę.

„Za sprawą Henryka Sienkiewicza, pamiętnego autora *„Quo Vadis“,* talent, z jakim została napisana ta powieść, nie był dla nas niespodzianką; świeżość i oryginalność tego dzieła powinny być bodźcem do dalszego zbadania polskiego pola literackiego... Dzieło to odznacza się prostotą i zwięzłością typową literatury słowiańskiej i wieje z niego jakiś szczególny duch melancholijny, pokrewny geniuszowi celtyckiemu, a jednak różny; nic podobnego nie znaliśmy dotąd w Anglii“.

Powodzenie „Anima Vilis“ zachęciło wydawcę do zaznajomienia publiczności angielskiej z „Dewajtysem“, który niebawem opuszcza prasę.

TEATR, MUZYKA I SZTUKI PIĘKNE.

* Przedstawienia w Beziers. Już czwarty rok, jak wytworzyli sobie Francuzi w pobliżu Paryża nowe ognisko sztuki podniosłej, coś w rodzaju Wagnerowskiego Bayreuth w połączeniu z pasyjnemi przedstawieniami w Oberammergau. W słonecznem mieście Beziers odbywają się na arenie wyścigowej lub służącej do walki byków, od lat kilku z początkiem jesieni przedstawienia w wielkim stylu pod kierownictwem Saint-Saënsa i przy współudziale najznakomitszych artystów.

W chórach zaś uczestniczy cała niemal ludność miasteczka. Przez dzień są to kowale, murarze lub winiarze, a wieczorem przemieniają się w bojowników greckich, lub pasterzy kaukaskich; dokoła zaś, na pniach i kamieniach, na łąkach i ławkach przydrożnych matki, żony, siostry, przyjaciele i krewni chórzystów z nabożeństwem przysłuchują się próbom. Przeszłego roku w przedstawieniu opery „Dejanira“ uczestniczyła 15,000 publiczność, składająca się przeważnie z Paryżan, przybywających ze stolicy lub z miejsc kąpielowych. W tym roku z równem powodzeniem przedstawiono „Prometeusza“, do którego muzykę ułożył kompozytor Gabryel Fauré, a poetyczną treść napisali Jan Lorrain i Ferdynand Hérold. Niezwykły wypadek nadał przedstawieniu temu w ostatnim czasie większy jeszcze rozgłos.

W jednę z niedziel, w chwili rozpoczęcia widowiska, gdy burza rozszalała się nad areną, przemienioną w teatr, zdawało się jak gdyby gniew Jowisza wybuchł nad 15,000 słuchaczy, przed którymi powtórzyć się miała obelga, wyrządzona Olimpijczykom przez Tytanidów.

Wśróg grzmotów i błyskawic deszcz ulewny zalał arenę, szerząc przestrach paniczny; kobiety mdlały z gorąca i przerażenia, uszkodzone dekoracye runęły, a piorun uderzył w skałę właśnie w tem miejscu, gdzie Prometeusz wzywa ogień niebios i pada zgromiony przez bogów. Czy mogli autorowie życzyć sobie lepszej reklamy? Zresztą reklama sztuczna jest właściwie zbyteczna. Malowniczość dekoracyj, dostarczonych przez samą przyrodę, potęga chóru i talent wykonawców takich, jak Cory Lamparcerie w roli Pandory i De Maxa w roli Prometeusza, składają się na całość ze wszech miar niezwykłą i wspaniałą.

* F. Schubert b. dyrektor Narodnego divadla w Pradze, mówiąc nawiasem, wielki przyjaciel Polaków, wydał, usuwając się od kierownictwa teatru, przegląd repertuaru za przeciąg 7 lat od r. 1883—1900. Niektóre z dat statystycznych w sprawozdaniu tem zamieszczonych są bardzo ciekawe. I tak okazuje się, że najbardziej „kasowymi“ są tzw. „féeries“, sztuki czarodziejskie lub inne, wymagające wspaniałej wystawy: np. „Podróż naokoło świata“ przyniosła 130.000 koron, „Siedem kruków“ 175.000 koron, podczas gdy trzykrotne wystawienie sztuki „John Gabriel Borkman“ Ibsena dało ogólny dochód w sumie 1.200 koron! Wogóle Ibsen nie miał szczęścia w Pradze, gdyż z innych jego dramatów „Rosmersholm“ przyniósł z czterech przedstawień dochód w kwocie 850 fl., a „Nora“ 1365 fl. „Samotn.“ Hauptmanna doprowadzili do niezbyt imponującej cyfry 4 przedstawień 2.900 guldenami dochodu, a Schillera „Wallenstein“, którego w ciągu lat 17 grano ogółem 4 razy, wzbogacił kasę teatralną ogółem o 993 zlr. Zato słynny, obskurny melodramat Raupacha „Młynarz i jego córka“ ma na swojem konto sumę 161.000 koron! Z kompozytorów operowych „kasowymi“ są jedynie Bizet i Smetana. Sama „Carmen“, grana 92 razy zasłużyła się około kasy teatralnej kwotą 122.000 koron, ale „rekord popłatności“ wzięła bezsprzecznie, „Sprzedana narzeczona“ wnosząc 450.000 koron do kasy. Opery Smetany przyniosły ogółem pokaźną sumę 806.000 koron.

* Królewski teatr dramatyczny w Berlinie zamierza 10 listopada, jako w dzień urodzin Schillera wystawić z wielkim nakładem pracy i pieniędzy „Turandot“ i „Semele“.

* 28 sierpnia przypada rocznica urodzin Goethego. Nadworny teatr berliński uczcił ją wystawieniem pierwszej części „Fausta“ z muzyką ks. Radziwiłła i Lindpaintnera. Tego samego dnia odbyło się przed 50 laty pierwsze przedstawienie „Lohengrina“ na Weimarze. Królewska opera w Berlinie wystawiła tego roku „Lohengrina“ w tymże samym dniu po 431 raz.

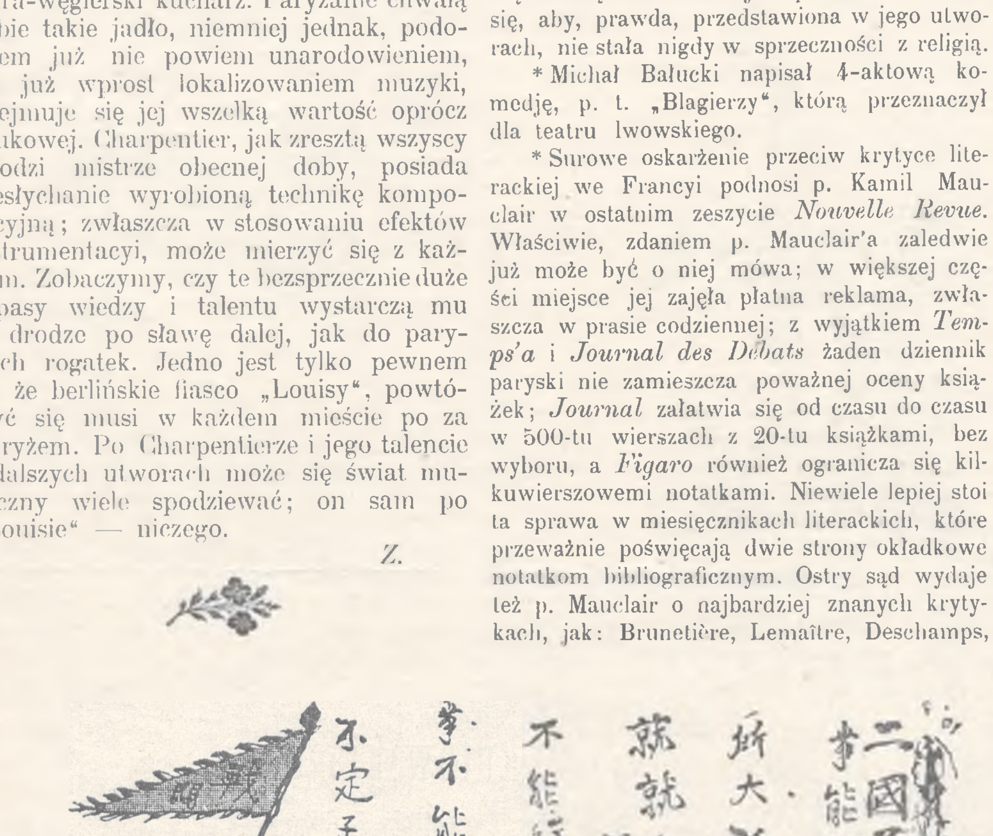
* W tych dniach otwarto w Warszawie przy ulicy Wierzbowej Nr. 11 muzeum sztuki. Muzeum to mieści w sobie dzieła starych mistrzów poczynając od XIV. wieku, a kończąc na początku XIX.

Zbiór ten składa się z 243 obrazów tak polskich, jakoteż i obcych artystów, które ongi za czasów istnienia szkoły sztuk pięknych w Warszawie mieściły się w jej gmachu, potem w pałacu Paca, a wreszcie dla braku miejsca zostały pomieszczone w pakach.

Obecnie staraniem zarządu miasta wynajęto tymczasowy lokal na ulicy Wierzbowej, zkąd po dwóch latach zbiory muzealne będą przeniesione do domu specjalnie na ten cel mającego się budować podług planów architekta Dziekońskiego.

Cenny ten zbiór zawiera między innemi dzieła znakomitych mistrzów jak Rembrandt, Dawid Teniers, Guido Reni, Tintoretto, Andrea del Sarto, Salvator Rosa i wielu innych. Z polskich zaś są tam dzieła artystów: Czechowicza, Hadziewicza, Orłowskiego, Szymanowskiego, Smuglewicza, a także Lampiego i Bacciarellego.

Zarząd nad muzeum powierzono szambelanowi Lachnickiemu.



»O północy zabłyśnie nóż!«

Plakat Bokserów

wzywający do mordowania chrześcian.

Powyższa rycina przedstawia jeden z plakatów, podszczuwający do rzezi białych, jakie od dłuższego czasu członkowie „Czerwonego kułaka“ rozrzucają w najdalsze zakątki państwa chińskiego. Oryginał tego plakatu wysłany został w maju r. b. do Berlina, przez jednego z misyonarzy chrześciańskich, zamieszkałych w Chinach. W pośrodku obrazu widzimy dziwaczną postać potwora przykutego do pala, który przedstawiać ma „Europejczyka djabła“. Obok stoi Chińczyk i gra na piszczałce, a w takt muzyki tańczyć musi nieszczęśliwe skrępowane zwierzę. Na chorągwi przytwierdzonej do słupka widnieje napis: „Bój się rozpoczął“. Inne napisy rozmieszczone w różnych miejscach plakatu, stanowią najrozmaitsze szydercze refleksye i zdania. Cel i znaczenie plakatu tłumaczy wiersz trzeci z góry, który brzmi: „O północy zabłyśnie nóż“.

Motto: *Cudze chwalicie, swego nie znacie —*
Sami nie wiecie, co posiadacie.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach" z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie" i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach".

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze 19|24 ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.* Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

WARUNKI PRENUMERATY:

NA

„GALICYĘ W OBRAZACH"

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach" 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobna okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają

bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron

a to: obraz **„Kazanie Skargi"** z oryginału Jana Matejki wielkości (48|63 ctm.),
Album ilustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie",**
Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem"** podług rysunku **Juliusza Kossaka,**
Poczet **„Królów polskich"** na kredowym papierze wielkości (63|5 ctm.)
i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**